

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. I. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 21 lipca 1906 r. Nr. 29.

Bitwa pod Aleksandrowem.

(Treść na stronie 13.)



Treść Nr. 29: Z pod Ostrej Bramy na Jasną Górę. — Zlot Sokołów w Przemyślu. — Ustąpienie prof. Wojciechowskiego. — Zasłużeni pedagogowie. — Robotnicy cukrowniani z Królestwa w Krakowie. — Zamach na kasę skarbową. — Zarząd Sokoła warszawskiego. — Dwa miesiące Dumy. — 30 lat po maturze. — Bandytyzm w Krakowie. — Zabity przez żandarma. — Olbrzymi pożar. — Jeszcze echo bomby. — Nowy nadprokurator. — W bocheńskiem gnieździe. — Kurs nowej metody buchalteryi. — Z jarmarku krajowego we Lwowie. — Przyjaciel Polski itd. itd.

Sensacyjne powieści: „MATECZKA“. — Ofiary wampirów. — Zbrodnia za zbrodnią itd. itd.

Z pod Ostrej Bramy — na Jasną Górę.

Po raz pierwszy od lat 40 udała się w tym roku na Jasną Górę do Częstochowy kompania pątników z Litwy. Pielgrzymka w podróży z Wilna zawitała do Warszawy przed tygodniem, w liczbie półtora tysiąca ludzi przeszła przez miasto z dworca petersburskiego na Pradze na dworzec wiedeński. Na powitanie drogich gości wyruszyły bractwa z kościołów warszawskich z duchowieństwem, chorągwiami i feretronami. Pod zamkiem królewskim fotografowano tłum pobożnych, poczem kompania udała się do kościoła popaulińskiego, gdzie przewodnik pielgrzymki litewskiej, wikaryusz z Ostrej Bramy, ks. Jeżyk odprawił mszę w kaplicy M. B. Częstochowskiej, a z krużganku kościelnego kazanie do pątników wypowiedział ks. kanonik Chełmicki.



Fot. E. Pierzchalski, Kraków.

Robotnicy cukrowniani z Królestwa w Krakowie: Grupa robotników z cukrowni w Szreniawie (w gub. Kieleckiej) z organizatorem wycieczki p. Poczobutem pośrodku, która w ubiegłym tygodniu przez 3 dni zwiedzała pamiątki Krakowa.

Ustąpienie profesora dra Tadeusza Wojciechowskiego.

Z końcem bieżącego roku szkolnego ustępuje ze stanowiska profesora historyi polskiej na uniwersytecie we Lwowie znakomity nasz uczony, dr. Tadeusz Wojciechowski.

Dr. Tadeusz Wojciechowski urodził się w Krakowie w r. 1858 i tam ukończył gimnazyum oraz uniwersytet, gdzie studyował naprzód prawo, a następnie filozofię. Jako doktór filozofii wstąpił do Biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie pracował jako amanuent. W r. 1875 został mianowany skryptorem biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie. Wnet potem rozpoczął wykłady z zakresu historyi polskiej i w r. 1883 został nadzwyczajnym, a w 1887 zwyczajnym profesorem tego przedmiotu. Od r. 1881 jest czynnym członkiem Akademii Umiejętności w Krakowie. Pracuje nadto w Towarzystwie historycznem, którego przez kilka lat był wiceprezesem. Jest wreszcie członkiem korespondentem komisyi centralnej w Wiedniu dla konserwacyi zabytków historyi i sztuki.

W ciągu wieloletniej pracy naukowej napisał i ogłosił drukiem wiele prac. Między temi: „Zabiegi cesarza Maksymiliana II. o koronę polską“, „Chrobacya. Rozbiór starożytności słowiańskich“, „Roczniki polskie X—XV“, „Podział i zakres dziejów polskich“, „O powtórnej elekcyi Stanisława Leszczyńskiego“ i wiele innych.

Wielkie zasługi położył prof. Wojciechowski jako kierownik seminaryum historyi polskiej, z którego wyszło wielu dzielnych i znanych w literaturze polskiej badaczów i uczonych.

Wiadomość o ustąpieniu zasłużonego profesora, przejęła szczerym żalem zastępy jego uczniów, którzy dla uczczenia jego zasług, urządzili mu serdeczną owacyę w „Kółku historycznem“.

Prof. Dr. Szymon Askenazy, przedstawiony *unico loco* przez Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego na opróżnioną po prof. Wojciechowskim katedrę historyi polskiej — pomimo młodego stosunkowo wieku, zajmuje w nauce polskiej jako



Z pod Ostrej Bramy — na Jasną Górę: Przejście pielgrzymki litewskiej w drodze z Wilna do Częstochowy przez Warszawę. (Przed zamkiem królewskim fotografował dla „Nowości Illustr.“ Czesław Kulewski).

badacz i znawca dziejów nowożytnych stanowisko pierwszorzędne, a ze względu na zasługi na tem polu położone — niemal wyjątkowe.

Urodzony w r. 1867 w Zawichoście, w Królestwie Polskiem, ukończył gimnazyum w Warszawie i na tamtejszym uniwersytecie odbywał studya prawne. Po uzyskaniu stopnia doktora praw, wyjechał na dalsze studya do Getyngi, gdzie pracował przez czas dłuższy pod kierunkiem najznakomitszego ze współczesnych historyków niemieckich prof. Lehmanna i za ogłoszoną w języku niemieckim pracę o elekcyi Stanisława Augusta w r. 1894 otrzymał stopień doktora filozofii. Od tej chwili, pracując kolejno w archiwach berlińskich, petersburskich, wiedeńskich i warszawskich, rozwija młody uczony niezmordowaną, doniosłą i płodną działalność naukową. Długi szereg prac, w których, jak słusznie powiedziano, „połączył wiedzę Lelewela z talentem Macauleya i sztuką Taina“, postawił go na świeczniku nauki historycznej polskiej i zdobył mu imię rozgłośne zarówno w kraju jak zagranicą. Ogłoszone w r. 1897 **Studya historyczno-krytyczne**, a w rok później **Przymierze polsko-pruskie** odznaczone wielką nagrodą „Kasy Mianowskiego w Warszawie“, otworzyły mu na oścież wrota uniwersytetu lwowskiego, gdzie od r. 1899 jako docent, rozpoczął wykłady z dziedziny historyi nowożytnej polskiej.

Odtąd z pracą naukowo-wydawniczą, którą uwieńczyły prace tej miary, co „Wczasy historyczne“ (Serya I i II), „Dwa stulecia XVIII i XIX“, „Sto lat zarządu w Królestwie Polskiem“ i wreszcie ostatnio wydane pomnikowe dzieło o księciu Józefie Poniatowskim, mające nietylko naukowe, ale wprost już narodowe znaczenie, nie licząc prac i rozpraw pomniejszych w czasopismach polskich i obcych, rozpoczyna prof. Askenazy na skromnem stanowisku docenta, rozległą i owocną pracę nauczycielską. Wykłady jego zdobyły w krótkim już czasie nadzwyczajne powodzenie, i ściągały nietylko tłumy studentów miejscowych, ale liczne zastępy młodzieży z obu zaborów. Wychował też prof. Askenazy w tym krótkim czasie grono młodych, ale już w literaturze znanych i najpiękniejsze na przyszłość nadzieje rokujących badaczy, którzy pod kierunkiem swego przewodnika, wydali cały szereg poważnych, samodzielnych prac naukowych.



Fot. E. Trzemeski, Lwów.

Ustąpienie prof. Wojciechowskiego: Dr. Szymon Askenazy (×), proponowany przez wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego „unico loco“ na następcę prof. Wojciechowskiego — w otoczeniu swych uczniów.

Nic przeto dziwnego, że uchwałę fakultetu filozoficznego, proponującą dr. Askenazego na następcę prof. Wojciechowskiego, powitała z dużą a niekłamaną radością cała młodzież, bez względu na różnice zapatrywań politycznych, a niewątpliwie z tą samą radością powita ją całe społeczeństwo polskie.

W numerze dzisiejszym pomieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy członków „Kółka historycznego“ z prof. drem Wojciechowskim, oraz prof. drem Finklem i Dembińskim, i fotografię prof. dr. Askenazego w otoczeniu grona jego uczniów.



Fot. nadw. N. Lissa we Lwowie.

Ustąpienie prof. Wojciechowskiego: Grupa członków „Kółka historycznego“ wszechnicy lwowskiej: w otoczeniu grona swoich słuchaczów na uniwersytecie, profesor historyi dr. Tadeusz Wojciechowski (1); obok niego prof. dr. Finkel (2) i dr Dembiński (3).

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

17 Ciąg dalszy.

Ułożono się, że o godzinie pół do jedenastej wieczorem Reman będzie oczekiwał z dorożką przed pewną restauracyjką za rogatką Jerozolimską, skąd dojedzie się pośpiesznie do Pruszkowa i tam dopiero wsiądzie się na stacyi do pociągu. Omówiono wszystko tak szczegółowo z góry i przygotowano się na wszelkie możliwe niespodzianki z taką przezornością, iż obaj sprzymierzeńcy byli przekonani, że cały plan musi im się powieść jak najlepiej.

Nadszedł dzień następny. Ludwik przesiadywał godzinami w jakichś najpodlejszych restauracyjkach na krańcach miasta, trzymając przed oczyma wiecznie tę samą gazetę, a przebiegając jednocześnie myślami tysiące wiorst drogi marzeń...

Cóż za ulgi doznał wreszcie, gdy zapadł wieczór. Przeniósł się w stronę rogatki Jerozolimskiej i wśród ciemności błąkał się długo w okolicach stacyi filtrów, wreszcie znużony wstąpił znowu do jakiejś piwiarni na ostatnią godzinkę. Dłużyła mu się ona w nieskończoność.

Wreszcie przed dziesiątą pojechał za rogatkę i w miejscu umówionem rozpoczęło się czekanie z zegarkiem w ręce. Pół do jedenastej, trzy kwadranse... niema nikogo. Jedenasta i nic! Minuta za minutą, coraz większy ogarniał go niepokój, coraz bardziej zaczynał wątpić, czy plan się powiódł.

Dryndziarzowi fundował piwo raz za razem, by się zbyt nie niecierpliwił...

Już zupełnie zrozpaczony przechadzał się tam i z powrotem Reman po szosie przed domem, gdzie naznaczona była schadzka, gdy wtem zdala do uszu jego doleciał gwałtowny turkot dorożki od strony miasta. Wprawdzie już tyle razy przedtem zawiódł się podobnym odgłosem i zamiast siostry ujrzał przed sobą obojętną dla niego dryndę, jadącą gdzieś od rogatki, jednak tym razem, jakby tknięty przeczuciem, wzrok w dal wytężył uważnie i czekał niecierpliwie, tuż obok swojej dorożki, której woźnica zdrzemnął się już z nudów na koźle.

Turkot zbliżał się. Wreszcie nadjechała prawie na niego pędem dorożka dwukonna i stanęła nagle. Reman odetchnął.

Tym razem chyba że już oni.

Istotnie jego sprzymierzeniec wyskoczył szybko i podał rękę młodej kobiecie zawelonowanej. Wysiadła i wraz ze swym towarzyszem weszła natychmiast tylnem wejściem do zamkniętej już restauracyi.

Ludwik podążył za nimi.

Znaleźli się we dwoje sam na sam w pokoju. A wtedy przybyły mężczyzna zwrócił się do swej towarzyszki, wskazując jej Remana:

— Oto jest ten pan, który ma panią zawieźć do barona Goldenthala...

— Już byłem pewny, że sprawa się nie udała — odezwał się Reman.

— Ale panie — odpowiedział mu dozorca więzienny — byłoby z tego wszystkiego nic nie było... Okazya, na którą liczyliśmy, zawiodła nas zupełnie i byłbyś pan był tutaj daremnie czekał do samego rana..

— I czemuż zawdzięczam, że jednak jesteście tutaj, chociaż z opóźnieniem?...

— Wie pan komu, temu zwaryowanemu doktorowi Anielskiemu... Narobił wielkiej awantury, chciał uciekać... Zrobił się popłoch niesłychany... Straż nie wiedziała wśród tego, co zaszło... Bieganina była ogromna... I z tego zaraz skorzystaliśmy... Uprowadziłem panią, która była już zupełnie na wszystko przygotowaną, a odźwierni znając mnie, puścili zaraz, bo naturalnie już było z nimi wszystko z góry ułożone... Dość, że się nam udało...

Przez ten czas jego opowiadania Ludwik przypatrywał się ze zdziwieniem twarzy siostry, której widok sprawiał mu boleść niewymowną... Ta piękna, młoda, pełna świeżości dziewczyna, wyglądała teraz, jak po ciężkiej chorobie... Ileż ona musiała wycierpieć w więzieniu, skoro zmieniła się do tego stopnia, w tak krótkim stosunkowo czasie.

Musiał Ludwik być dobrze przecharakteryzowany, jak się w tej chwili przekonał, kiedy siostra nie poznała go i spoglądała na niego, jak na obcego zupełnie człowieka.

Przygotowany dla nich posiłek zniknął prędko ze stołu, poczem wszystko troje wsiedli do oczekującej od kiku godzin dorożki i odjechali umyślnie do Grodziska, nie zaś, jak zamierzali wprzódy, do Pruszkowa.

Tam trafili na pociąg, który miał odjechać za kwadrans. Zaledwie bilety kupili i na peron wyszli, gdy poza stacyą wpadła jak bomba przed drzwi dworca dorożka na gumach i jacyś podróżni z niej wyskoczyli.

Jeszcze mała chwilka, a zjawili się przed Marylką i jej towarzyszami dwaj panowie, na których widok zadrżał dozorca więzienny i struchlała panna Reman...

Sprzymierzeńcy.

Ciszę małej stacyjki drogi żelaznej warszawsko petersburskiej przerwał nagle świst, szum. poczem przed budyneczek stacyjny wpadł z hukiem pociąg od strony Wilna.

Przez kilka sekund dyszał ciężko.

Lecz zaraz powietrze rozdarł gwizd przeraźliwy z parowozu i pociąg ruszył w dalszą drogę ku stolicy nadnewskiej.

Wtedy okazało się, że z pociągu wyszedł zaledwie jeden podróżny, który właśnie zmierzał do poczekalni, niosąc coś w rękach przezornie.

Służba stacyjna z wyrzutem spojrzała na gościa, w którym domyślała się jakiegoś niezmiernie wytwornego pasażera, a który mimo to przybył bez waliz — czyli nie dał sposobności do zarobku.

Starsza kobieta siedząca za bufetem zerwała się z miejsca, pytając, czyby nie mogła czem służyć gościowi, jakkolwiek widząc eleganckiego pana w postawie nader wyniosłej i dumnej, z góry powątpiewała, żali znajdzie się u niej jaka odpowiednia dla niego przekąska.

— Czy mógłbym dostać szklankę gorącego mleka dla dziecka — zawołał ten głosem surowym.

Bufetowa po tych słowach dopiero zauważyła, że przybyły niósł coś pod płaszczem i właśnie ciężar swój teraz umieszczał na kanapce przy stole. Był to zaś chłopczyk zaspany, którego wysoki pan posadził troskliwie i sam zwrócił się do gospodyni.

Ta mu tłómaczyła, że jest owszem mleko gorące, dzięki przypadkowi jedynie, ponieważ przed chwilą kazała je przegotować dla swoich dzieci...

Tłómaczenia gadulskiej byłyby trwały zbyt długo, więc gość przerwał je, prosząc o pośpiech i wrócił do dziecka.

Za chwilę przyniesiono mleko dymiące dla chłopczyka.

Dumny pan spojrzał na bufetową, aż ta odskoczyła.

— Boże, co za wzrok straszny ma ten człowiek — pomyślała sobie kobieta, udając, że coś sprząta ze stołu — gdyby nie pańskie maniery, gdyby nie ubiór szykowny, mogłabym go wziąć za jakiegoś zbója z lasu... Co za oczy...

— A wina dobrego to się tu u pani nie dostanie?

— Wina, ależ owszem, mam ja przecież i wino i na kieliszki i na butelki. Ale dla pana dobrodzieja, to jabym mogła służyć specyalne wino, co je trzymam tylko dla pana zawiadowcy stacyi...

— Proszę mi pokazać...

Przyniosła mu natychmiast butelkę, którą on obejrzał, poczem kazał odkorkować i podać kieliszek, czysty kieliszek...

Bufetowa była mu niesłychanie rada. Za tę butelkę mogła dużo policzyć. Taki zarobek gładki rzadko jej się trafiał.

Dumny pan wypił kieliszek wina i nie skrzywił się, więc gospodyni już się z radości nie posiadała.

Domowej roboty bułeczkę przyniosła dla dziecka do mleka, a starszemu panu zaproponowała, że ma dla własnego użytku od rodziny z Grodna, przysyłany niekiedy, piernik litewski niezwykłej dobroci. Pan poprosił o taką zakąskę do wina i był z niej zadowolony.

Ciekawość piekła już gospodynię, która jednak nie śmiała, pod wpływem wzroku gościa, zapytać go, po co tam przyjechał i dokąd wybiera się. Czekała cierpliwie.

— Czy pan mnie już do mamy teraz zawiezie... zaraz? — odezwał się chłopczyk smętny o prześlicznej twarzyczce.

Gospodyni osłupiała. Więc to nie ojciec tego dziecka...

Teraz już nie wytrzymała i pod pozorem obtarcia chłopczykowi sukienki, skropionej przy piciu mlekiem, zbliżyła się do dziecka, sądząc, że łatwiej dowie się czegoś i zaspokoi, choćby w części, swoją ciekawość.

Kiedy chłopczyna z nieufnością spojrzał na zbliżającą się obcą kobietę, starszy pan pogłaskał go po złotych włosach

— Nie bój się... pani ci nic złego nie zrobi... Zaraz pojedziemy do mamusi, zaraz, dziecko...

Gospodyni obtarła z mleka sukienkę chłopaczka i pobiegła po jajko, które tymczasem kazała zgotować w kuchni.

Gdy wróciła, pan zagadnął:

— Może mi pani powie dokładnie, jak daleko stąd jeszcze do Rożniewa?

— Ojej, do Rożniewa, to pan tam jedzie... a tu niema powozu stamtąd... cóż tu zrobić...

Okazało się, że obcy pan nie zdawał sobie sprawy z tego, jak daleko było z tej stacyi kolejowej do samego Rożniewa, jak również nie wyobrażał sobie, że to będzie z takiemi trudnościami połączone, zdobyć tutaj konie dla odbycia owej dalekiej a uciążliwej drogi.

Możnaby wprawdzie wystarać się o furmankę w sąsiedniej wiosce. Ale byłaby to bryczka trzęsąca, albo wóz gospodarski, którym dałoby się przejechać od biedy dwie, trzy wiorsty, gdy tymczasem czekała podróż wiorst kilkudziesięciu, nie zawsze po dobrej drodze, często po wybojach.

Ani dla dziecka, ani ze względu na siebie, nie mógł się na to zdecydować i debatował właśnie, co począć

— Gdyby pan był tutaj wcześniej przyjechał, to była świetna okazya... Próżny powóz dworski wracał do Rożniewa ze stacyi, przywiózłszy tutaj hrabiego na kolej... Co za szkoda...

— Więc hrabia Rożniewski odjechał niedawno, powiada pani... Nie zastanę go w pałacu...

— A jakże, odjechał do Warszawy, minęliście się państwo w drodze...

— Nie wie też pani przypadkiem, czy hrabianka Rożniewska bawi teraz w pałacu..

— My tu, widzi pan dobrodziej, musimy wiedzieć wszystko, ponieważ każdy, kto z Rożniewa jedzie, czy w tę, czy w tamtą stronę, musi siadać na kolej właśnie tylko na naszej stacyi, zawsze, a jakże, proszę pana... Ja przecież znam hrabiankę Wandę... Nigdzie nie odjechała, jest na pewne w pałacu, bo hrabia sam pojechał...

— Moja pani, a nie słyszał tu kto o tem, że hrabianka Rożniewska...

— Wychodzi za mąż za barona — dokończyła gospodyni.

— Więc tu już o tem wiedzą...

— Naturalnie, proszę pana.. Baron Goldenthal był tam w zamku w Rożniewie przez niedługi czas... no i powiadają, że mu się tam jakieś przytrafiło nieszczęście... niby podobno leży tam jeszcze w łóżku... tak się ma mówić... Ale ja się dowiedziałam w sekrecie i mogę też panu dobrodziejowi powiedzieć, że to nie prawda... Jego już w Rożniewie niema w tej chwili... Na własne oczy widziałam, jak stąd odjeżdżał. Przecież ja go znam... Był z rozmysłu widocznie tak omatulony, że trudno było wiedzieć, kto to jest... Ale ja panu mogę na to przysięgać, że to był on i że stąd odjechał do Warszawy...

Wtem ruch się zrobił w korytarzu dworca kolejowego. Gospodyni pobiegła do bufetu...

— No, synku, pojedziemy teraz do mamy...

— Do mateczki... do mamusi — zaczął chłopczyk klaskać w dłonie, uradowany zapewnieniem starszego pana.

A wtem do poczekalni weszli jacyś państwo, za nimi wniesiono walizy.

W kilka minut później pociąg nadjechał z Petersburga, nowi podróżni wsiedli i pociąg odjechał do Wilna.

Wtedy bufetowa podbiegła do swego gościa, trzymającego chłopca na kolanach.

— Proszę pana dobrodzieja... jest cudowna okazya, jakiejby pan nie miał, ani za trzy tygodnie... tak się składa, jakby wymarzyć trudno... Ci państwo, co teraz wsiedli do pociągu, przyjechali tu swoim powozem... Ich majątek jest jeszcze dalej, niźli Rożniewo, ale muszą przejeżdżać koniecznie koło Rożniewa, jak tu na kolej jadą. Więc powóz za jakie pół godziny, może za godzinę, jak tylko konie spoczną, będzie wracał próżny i musi znowu koło zamku rożniewskiego przejeżdżać bokiem... Da pan dobrodziej tylko coś niecoś na piwo woźnicy, to zawiezie na miejsce jak najchętniej... Już mu szepnęłam, proszę pana, a jakże...

— Bardzo pani dziękuję, zaraz z nim pogadam...

I zapłacił rachunek, podwoiwszy go dyskretnie, poczem zostawiwszy na chwilę pod opieką bufetowej chłopaczka, poszedł umówić się z woźnicą.

Rzecz prosta, że furman nie miał nic przeciwko temu, by sobie zarobić cokolwiek nadprogra-

mowo, zwłaszcza, że domyślał się, iż napiwek tak wytwornego pana nie może nie być suty.

Powóz był wygodny, czwórka koni dzielnych i pięknych, co wszystko obiecywało, że podróż potrwa nie długo i nie będzie bynajmniej nużącą.

Aż odetchnął obcy pan z tego powodu, gdyż bufetowa zaniepokoiła go niemało.

Konie wypoczęły niespełna godzinkę, woźnica na rachunek nieznajomego podróżnego, posilił się przyzwoicie u pani bufetowej, wypiwszy w miarę dobrego trunku.

Wreszcie ruszono w drogę.

Chłopczyk spał w najlepsze w kącie pojazdu, który niósł szybko bez silnych wstrząśnień. Starszy pan zaś palił cygaro po cygarze i rozglądał się po okolicy.

Kiedy zajechano do Rożniewa, obcy podróżny ukrył chłopaka pod płaszcz swój i wysiadłszy, prędko wszedł do wnętrza pałacu.

Turkot powozu i tupot czwórki koni wywołał zdziwienie w zamku.

Lokaj wypadł na spotkanie gościa.

Nieznajomy zmierzył go od stóp do głowy surowem spojrzeniem.

— Czy hrabianka Rożniewska może mnie zaraz przyjąć — rzekł z miejsca, podając trzymany już w pogotowiu bilet wizytowy.

Lokaj wielce zdziwiony okolicznościami, jakie tej niespodziewanej wizycie towarzyszyły, oddalił się. Konie i powóz znał dobrze, ale wiedział, że nie ten pan był dziedzicem majątku, z którego pochodziły. Zastanowił się nad tem, że konie natychmiast odjechały, nie czekając na podróżnego, którego tu przywiozły.

Ale bardziej jeszcze zdumiał się, gdy w minutę później powrócił do sali stołowej i zauważył że gość nie rozebrawszy się w przedpokoju, wszedł na pokoje w płaszczu pełnym śladów długiej podróży i jeszcze coś ciężkiego i dużego pod nim ukrywał.

Wszystko to podejrzane mu się wydało, ale ponieważ jego pani, przeczytawszy tylko nazwisko gościa na bilecie, kazała natychmiast prosić go do siebie, przeto z miną pełną uszanowania, drzwi przed nim uchylił do następnego pokoju.

Gość jak stał, wszedł tam i zastał hrabiankę Wandę Rożniewską siedzącą naprzeciw drzwi w krześle.

— Mam w panu powitać księcia Czerskiego? — spytała na widok wysokiego mężczyzny, w płaszczu wchodzącego do pokoju.

A w tej samej chwili ciężar ukryty pod płaszczem ożył i poruszył się gwałtownie.

— Mamo! — rozległo się w pokoju.

Z pod płaszcza księcia wyskoczył chłopczyk złotowłosy i rzucił się w ramiona młodej kobiety, wołając:

— Mamo! Mamo!

Wanda oniemiała ze wzruszenia.

Tak silne było wrażenie niespodziewanego odzyskania syna-jedynaka, że nie mogła przez czas dłuższy ani odezwać się, ani wstać z krzesła, objąwszy oburącz dziecko za szyję i oparłszy usta o jego czoło...

Widział książę to potężne wrażenie, jakie wywarł swoją niespodzianką i cieszył się w myśli.

Poczem zdjął płaszcz z siebie, cofnął się ku drzwiom, uchylił je i czekającemu tam jeszcze lokajowi podał wyniośle.

Kiedy wrócił, usłyszał nareszcie głos uszczęśliwionej matki:

— Tadziuś, mój Tadziuś... już mi cię teraz chyba nikt nie odbierze... za żadne skarby świata żużbym cię synku teraz nie oddała od siebie...

A dziecko tuliło się do piersi matki, stęsknione znać ogromnie do pieszczot macierzyńskich, których nic nie zdoła zastąpić.

— Może pani być zupełnie o to spokojną — odezwał się Czerski — oddałem pani dziecko nie na to, by ci je odebrać... A teraz panina to już rzecz, czy masz je przy sobie zatrzymać...

— Dzięki panu stokrotnie za tę chwilę niewymownej radości, jakąś mi książę dzisiaj sprawił tak nieoczekiwanie... Ale czemuż pan nie siada... Przepraszam, że jestem jeszcze do tej chwili tak oszołomiona, że przyjść do siebie nie mogę i nawet nie prosiłam pana, byś zechciał usiąść...

— Proszę mną się nie troszczyć, ma pani przecież ważniejszego gościa ode mnie... Jeszcze czas będziemy mieli na rozmowę... Niech że się pani przedewszystkiem Tadzikiem nacieszy... Zdrów jest, tylko zmęczony podróżą i z tęsknoty zmizerniał... Prawda, że bardzo blady chłopczyna...

— Bogu dzięki, panie, że jest już u mnie nareszcie, wszystko bagatela zresztą... Nie mam słów dość prawdy na podziękowanie ci, książę, za tę chwilę...

Powoli uspokajała się matka, a dzieciak czując się przy niej szczęśliwy, zaczął rozglądać się po pokoju, który mu był obcy i w którym mnóstwo rzeczy zainteresowało go zaraz.

Wtedy hrabianka Wanda zwróciła się do gościa:

— Ach, panie, wybacz, że pierwsze wrażenie tak silnie na mnie podziałało, iż zupełnie zapomniałam o księciu, a mam go o tyle rzeczy pytać...

Na te słowa Czerski przysunął sobie fotelik, na którym siedział, bliżej do hrabianki i odezwał się poważnie:

— Czy pani już wie, co się stało z mężem pani...

Łzy zaświeciły w pięknych oczach Wandy. Z ust jej nie wyszło ani jedno słowo, ale w wyrazie twarzy dostrzegł książę pytanie pełne zdumienia, po którem odrazu domyślił się, że do tej chwili nie doszła do niej wiadomość o losach jej męża.

— Więc pani jeszcze nie wiadomo, że mąż ożył...



Z pod płaszcza księcia wyskoczył chłopczyk złotowłosy i rzucił się w ramiona młodej kobiety, wołając:
— Mamo, mamo!

Wanda z oczyma w słup zwróciła się do niego, za obie ręce ujęła go gwałtownie i czekała dalszych słów... Tak dziwnie dla niej brzmiała ta wiadomość nieprawdopodobna, że zdawało się jej zrazu, iż musiała źle dosłyszeć...

Milczała, ponieważ mówić nie mogła w żaden sposób.

— Tak jest, łaskawa pani, doktór Anielski ożył jeszcze w porę, zanim go pogrzebano... żyje mąż pani...

Zerwała się Wanda z krzesła, puszczając ręce księcia i chwyciła się za czoło takim gestem, jakgdyby bała się, że jej czaszka może pęknąć.

— Mąci mi się w głowie... czy ja śnię... panie... męża mogę ujrzeć przy życiu... czy to podobna... Więc w letargu był tylko?... Tadzik mój nie jest sierotą...

— Ani pani wdową — dokończył książę Czerski, starając się uspokoić rozdrażnioną do najwyższego stopnia kobietę.

W twarzy Wandy zabłysnął nagle wyraz bezgranicznej radości.

— Mąż pani nie jest bynajmniej winnym, że tak nieszczęśliwy przebieg miała wiadoma pani operacya... Pani, to ja z miłości bez miary dla swojego dziecka, tak niefortunnie sprawą pokierowałem...

Tu głos księcia załamał się nieco i w dalszym ciągu był drżący...

— Straciłem ja swoje dziecko i daremnie szukam... Ale teraz pragnę ratować męża paninego i zbić wszelkie podejrzenia, jakie na nim ciążą niezłomnie... Uczynię to stanowczo, chociażbym miał w tym celu niebo i ziemię poruszyć. Może mi Bóg pomoże i za to przecież dziecko swoje odnajdę...

Wanda słuchała z naprężoną uwagą... Wysilała się, by zrozumieć, co jej Czerski mówił. Jednakowoż słowa jego sprawiały na niej wrażenie trudnych do rozwiązania zagadek...

Zauważył książę, w twarz jej patrząc, że w niej zaczyna się budzić nieufność ku niemu.

— Boję się, czy przypadkiem pani nie powątpiewa w moje słowa... Przysięgam ci, pani, że wszystko, co mówię, prawdą jest i mąż pani może ci potwierdzić sam, że nie okłamuję pani pod żadnym względem.

Hrabianka nie mogła jeszcze uwierzyć w to, że mąż jej żyje. Wszakżeż lekarz jeden, drugi, badał jego ciało i śmierć stwierdzili jednako... Więc nanowo zasypała księcia pytaniami w sprawie letargu, przebudzenia się Jana, dopóki nie zdobyła jakich takich szczegółów w tej sprawie.

A kiedy nakoniec nabrała już przeświadczenia, że istotnie mąż jej żyje, wybuchnęła płaczem. Łzy perłami toczyły się z jej oczu, pierś falowała niespokojnie. Ukoić jej nic nie mogło, nawet widok dziecka, które szlochając z trwogi, tuliło się znowu do matki odzyskanej.

Tak minął długi kwadrans.

Nakoniec stojący przez ten czas przy oknie w kłopotliwem milczeniu Czerski, zbliżył się do niej i odezwał ze wzruszeniem w głosie:

— Czy pani mam towarzyszyć do jej męża, czy też jego mam do pani przyprowadzić?...

— O, nie, to ja z panem udam się bezzwłocznie do Jana. Nie miałabym już ani godziny dłużej spokoju, odkąd wiem, że mąż znajduje się znowu przy życiu i jest chory i opuszczony... Moje miejsce przy jego boku, skoro śmierć nie rozerwała więzów, jakie nas łączą...

— Właśnie sądzę, proszę pani, że widzenie się jego z panią i to jaknajrychlejsze, może mieć najlepsze skutki, ponieważ mąż jest bardzo cierpiący — podchwycił Czerski, starając się nakłonić Rożniewską do natychmiastowego odjazdu.

Wkrótce później spożyli wspólnie posiłek tymczasowy w sali stołowej, książe bowiem z rozkładem jazdy kolejowej w ręce, wytłómaczył gospodyni, że brak czasu na spożywanie obiadu i że należy spieszyć zaraz z powrotem na stacyę.

Wanda załatwiła na miejscu jedynie, co najpotrzebniejsze.

Aż zdumiał się Czerski, że przygotowania jej do podróży dalekiej, tak krótko trwały.

Między innemi, napisała przez ten czas krótki list do ojca.

Wreszcie powóz zajechał przed pałac i wsiedli do niego zaraz oboje z dzieckiem.

Wielkie oczy zrobiła bufetowa na stacyi, gdy ujrzała hrabiankę Rożniewską, w towarzystwie owego nowego jej znajomego z dzieckiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. A. Pawlikowski, Kraków.

Kurs nowej metody buchalteryi: Grupa rękodzielników, którzy uczęszczali na naukę nowej metody buchalteryi i po 8 dniach nauki złożyli znakomity egzamin z tego przedmiotu, (z autorem nowej metody p. Pawłem Ciompą i instruktorem stowarzyszeń przemysłowych p. Witoldem Ostrowskim pośrodku).

Kurs nowej metody buchalteryi.

Wiadomo powszechnie, jak ważną rolę w każdym interesie odgrywa racyonalne prowadzenie ksiąg, dające rękodzielnikowi czy przemysłowcowi jasny obraz każdodziennego stanu interesu, jego rozwoju czy upadku. **Ale wiadomo również,** że prowadzenie ksiąg rachunkowych nie jest rzeczą łatwą i że, chcąc u siebie zaprowadzić buchalteryę, kupiec czy przemysłowiec musiałby się długo uczyć, bo buchalterya była dotychczas nauką, która wymagała dużo czasu i żmudnej pracy. Obecnie p. Paweł Ciompa wynalazł własną, nową metodę buchalteryi, ogromnie uproszczoną i łatwą, tak, że wyuczenie się jej wymaga bardzo mało



Fotografował E. Pierzchalski, Kraków.

W dziesięć lat po maturze: Abituryenci krakowskiej I. szkoły realnej, zebrani z okazyi zjazdu, w dziesięć lat po egzaminie dojrzałości: Licząc od strony lewej ku prawej w pierwszym rzędzie siedzą na dywanie: Romuald Dziewolski i Józef Meuscheck; w drugim rzędzie siedzą: 1. Tygan Albin. 2. Jan Stobiecki. 3. Prof. Hilary Hołubowicz. 4. Ks. Franciszek Świderski. 5. Dr. Ignacy Petelenz, dyrektor szkoły realnej, poseł do Rady państwa. 6. Prof. Franciszek Jeziorski. 7. Bolesław Skąpski. 8. Władysław Jan Scherbaum. W trzecim rzędzie stoją (od lewej ku prawej): 1. Adolf Scheininher. 2. Józef Żuławski. 3. Tadeusz Rogoyski. 4. Aleksander Kubiczek. 5. Henryk Markiewicz. 6. Franciszek Bedernik. 7. Józef Danek. 8. Jan Świtek. 9. Jan Krzyżanowski. 10. Edward Kostecki. 11. Artur Romanowski.

czasu, co dla pragnących się jej nauczyć jest rzeczą niemałej wagi.

Autor tej metody, kontrolor Banku austr. węg. p. Paweł Ciompa, w porozumieniu z Instruktoratem dla stowarzyszeń przemysłowych, urządził na próbę bezpłatny kurs dla rękodzielników w Krakowie, aby udowodnić łatwość i prostotę swej metody. Frekwentanci potrzebowali do wyuczenia się tej metody podwójnej buchalteryi przeciętnie 8 lekcyi po 2 godziny. Kurs zakończył się w d. 10 lipca t. r. egzaminem w obecności instruktora p. Witolda Ostrowskiego. Zważywszy, że frekwentanci przeważnie posiadali tylko wykształcenie szkół normalnych, zważywszy, że do wyuczenia się podwójnej buchalteryi według dotychczasowych metod potrzebne było kilkumiesięczne studyum, a nawet do wyuczenia się buchalteryi pojedynczej na kursach zimowych rękodzielnicy potrzebowali przeszło 50 godzin czasu, to rezultat, osiągnięty w tak krótkim przeciągu czasu, świadczy jak najlepiej o nadzwyczajnej prostocie tej nowej buchalteryi. Metoda zaprowadzoną jest już w kilku przedsiębiorstwach zagranicą i u firmy R. Ditmara w Krakowie.

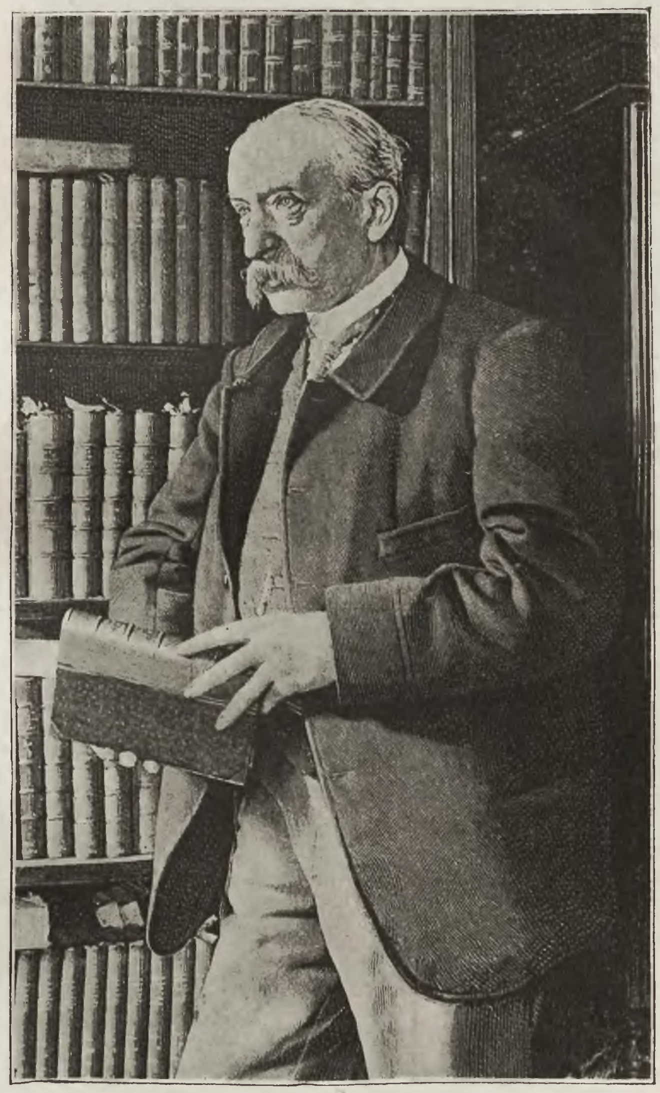
Kurs ukończyli majstrowie szewscy: pp. Dalewski Stanisław, Trąbka Stanisław, Dygut Andrzej, Gałek Juliusz, Nowosielski Jakób; majster tapicerski p. Karliński Franciszek; rytownik Bargiel Julian; uczęszczali jeszcze: stolarz p. Burzyński Ignacy, majster szewski p. Bryniarski Wiktor i introligator p. Gigoń Wojciech; oprócz wymienionych ukończyli jeszcze kurs: pp. Jejde Tadeusz i Zbiś Bronisław, jako też 3 panie.

Na załączonej obok illustracyi podajemy Czytelnikom fotografię frekwentantów z p. Ciompą i z p. Ostrowskim, instruktorem stow. przemysłowych w pośrodku.

W dziesięć lat po maturze.

Lata szkolne, w gronie kolegów spędzone, należą zawsze do najprzyjemniejszych wspomnień. Nieraz człowiek powraca do nich myślą, kiedy w posępnej szarzyźnie żywota zmarszczkami mu się czoło pokryje, blask w oku zagaśnie i serce gorące wystygnie. Wtedy powraca się myślą do tych lat, na ławie szkolnej spędzonych, gdzie smutku prawie się nie znało, gdzie wśród przyjaciół serdecznych i szczerych szukało się zawsze ukojenia i gdzie człowiek rzeczywiście anielskie spędzał lni.

Jakąż przyjemność mają więc dawni uczniowie, którzy po dziesięciu latach zbiorą się znowu razem w murach szkoły, skąd wyszli razem w świat, w zawody z życiem! Dlatego to zjazdy maturzystów zawsze tak uroczyście się odbywają.



Przyjaciel Polski: Członek Akademii Umiejętności w Krakowie, zmarły w Paryżu znakomity historyk i uczony francuski Albert Sorel, który w dziełach swoich niejednokrotnie zajmował się Polską, okazując jej serdeczne współczucie i sympatyę. (Według ostatniej fotografii w bibliotece śp. Sorela).

W ubiegłym tygodniu odbył się w Krakowie zjazd byłych uczniów szkoły realnej, którzy przed dziesięciu laty zdali w tej szkole maturę. W zjeździe wzięli udział oprócz uczniów dyrektor szkoły realnej poseł dr. Petelenz, prof. Franciszek Jeziorski i katecheta szkoły ks. Franciszek Świderski. Na załączonej illustracyi podajemy zbiorową fotografię uczestników zjazdu wraz z wymienionymi wyżej profesorami.

Przyjaciel Polski.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Paryżu francuski historyk Albert Sorel. We Francyi była to postać znana, u nas do niedawna ogół polski mało o nim wiedział; cenił go natomiast bardzo wysoko nasz świat uczony, o czem świadczy między innemi najlepiej fakt, że Akademia umiejętności w Krakowie, ta najwyższa instytucya naukowa na ziemiach polskich, mianowała go przed laty swoim członkiem. Sorel zasłużył na to w zupełności, jako uczony i jako przyjaciel Polski.

Była to postać bądź co bądź ciekawa. Karyerę literacką zaczął od pisania powieści, które jednakże prędko porzucił i oddał się w zupełności pracy naukowej. W wypadkach 1870 – 1871 roku brał żywy udział jako nieoficyalny dyplomata, mianowicie jako sekretarz prezydenta delegacyj dla spraw zagranicznych, utworzonej przez rząd prowizoryczny. Następnie oddał się służbie państwowej, którą opuścił przed trzema laty jako sekretarz generalny prezydyum Senatu.

W owym czasie, kiedy Sorel przechodził już jako 60-letni starzec na emeryturę, grono uczniów profesora Aszkenazego we Lwowie przełożyło wybornie ku uczczeniu Sorela znakomite jego dzieło pt: „Sprawa wschodnia w XVIII wieku. Pierwszy podział Polski i traktat kanardżyjski“. W przedmowie do tłómaczenia polskiego pisał prof. Aszkenazy:

„...Sorel jest czemś więcej niż emerytowanym dygnitarzem, jest przedewszystkiem znakomitym uczonym w pełni talentu i twórczości. Daleko jaśniej niż w Senacie świeci jego nazwisko w najcelniejszych korporacyach naukowych Europy, zarówno w Akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu, jak i w akademiach Berlina albo Getyngi. Jest on rzeczywiście„ de l'Académie francaise“. A jest także członkiem naszej Akademii krakowskiej“.

„Nie stało to się przypadkiem. Wszechstronny a bezstronny historyk europejskich dziejów politycznych doby nowożytnej, Sorel przez zakres swoich badań wszedł w bezpośrednie zetknięcie z nowoczesną historyą polską, przez rodzaj zaś tych badań zasłużył sobie od niej na najwyższą wdzięczność. Zajmował się nami często i dużo, a zajmował w rzetelnym sposobie i sympatycznej in-



Fot. T. Bahrynowicz, Lwów.

Po trzydziestu latach: Grupa byłych uczniów dawnego gimnazyum Bernardyńskiego we Lwowie na zjeździe w 30 lat po maturze.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ M. Todt.
Zlot Sokołów w Przemyślu: Delegaci najmłodszych gniazd sokolich z Warszawy i z Petersburga, przybyli na zlot do Przemyśla, oraz prezes miejscowego okręgu dr. Tarnawski z sekretarzem drem Dobrzańskim.

tencyi naukowej. Mamy dług podwójny względem tego badacza i zacnego człowieka.

Naprzód jest on jednym z bardzo nielicznych dziś uczonych zagranicznych, którym wypadło zaprzątać się bliżej rzeczami polskiemi i to najdotkliwszą dobą upadku Polski. Powtóre jest on jejednym z najmniej dziś licznych, zgoła wyjątkowych, którzy do badania tych rzeczy przynosili sprawiedliwość i wynosili stamtąd współczucie. Jest z doborowej, a tak mocno dziś przetrzebionej garstki naszych przyjaciół. Oczywiście przyjaciół naukowych, gdyż o innych obecnie wcale być mowy nie może“.

Zamieszczając dzisiaj tych kilka osób pośmiertnego wspomnienia, podajemy obok fotografię śp. Alberta Sorela.

Po trzydziestu latach.

Znaną powszechnie jest rzeczą, że węzły przyjaźni i sympatyi, zadzierżgnięte na ławie szkolnej są najtrwalszymi. I najprzyjemniejszymi są zwykle w życiu ludzkiem wspomnienia miłych lat w szkole spędzonych, zwłaszcza gdy ożywi je widok tych sal, widok profesorów i kolegów. Stąd też wszystkie zjazdy koleżeńskie czynią na ich uczestnikach tak duże wrażenie, wrażenie tem większe, im dłuższy okres lat dzieli chwilę zjazdu od chwili opuszczenia szkoły.

Jeden z takich zjazdów odbył się we Lwowie w sobotę i niedzielę 7 i 8 bm. Zjechali się byli uczniowie gimnazyum bernardyńskiego, którzy przed laty 30, tj. w r. 1876 złożyli w tem gimnazyum egzamin dojrzałości. W roku tym było w dwu oddziałach klasy VIII uczniów 72. Z liczby tej zmarło 25. Z pozostałych 47 przybyło na zjazd 25, reszta zaś nieobecność swą usprawiedliwiła.

Uczestnicy zjazdu zebrali się w sobotę rano w kościele OO. Bernardynów, gdzie wysłuchali mszy świętej na intencyę zjazdu odprawionej. Następnie udali się gremialnie do gmachu gimnazyalnego. Tam, w jednej z sal szkolnych, odbyło się zebranie koleżeńskie, na które przybyli też dwaj żyjący dotąd profesorowie pp. dr. Ignacy Petelenz, poseł, obecnie dyr. szk. realnej w Krakowie, oraz radca szkolny Wojciech Biesiadzki. Wśród serdecznej pogadanki, przeplatanej przeważnie wspomnieniami z lat szkolnych, nastąpiło odczytanie katalogu, poczem uczestnicy zjazdu udali się do zakładu p. Bahrynowicza, gdzie się wspólnie od-



Fot. dla „Nowości Illustr.“ M. Todt.
Zlot Sokołów w Przemyślu: Kazanie ks. dra Momidłowskiego po mszy polowej do tysiąca przybyłych na zlot druhów; obok delegaci Sokołów z Warszawy, oraz kilka Sokolic.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Michał Todt.
Zlot Sokołów w Przemyślu: Uczestnicy szykują się do pochodu; na przedzie prezes okręgu przemyskiego dr. Tarnawski, za nim prezesowie wszystkich biorących udział w zlocie gniazd sokolich.

fotografowali. Wieczór tego dnia spędzono na placu powystawowym, na jarmarku wyrobów krajowych.

Zlot Sokołów w Przemyślu.

Dnia 8 lipca odbył się w Przemyślu zlot czwartego okręgu Sokołów, połączony z uroczystością jubileuszową dwudziestoletniego istnienia gniazda przemyskiego. Okręg przemyski obejmuje pod swemi skrzydłami 19 towarzystw sokolich, a mianowicie gniazda: Brzozów, Cieszanów, Chyrów, Dobromil, Dynów, Jaworów, Jarosław, Lisko, Lubaczów, Mościska, Przemyśl, Radymno, Sambor, Sanok, Sądowa Wisznia, Stary Sambor, Sieniawa, Ustrzyki i Zagórz. W Galicyi jest to więc jeden z najsilniejszych liczebnie okręgów. Dodać trzeba, że samo gniazdo przemyskie jest jednem z najstarszych w Galicyi, bo założone zostało w roku 1885, od roku 1895 posiada własny gmach, a liczy obecnie przeszło 400 umundurowanych członków; zrozumiałą jest więc rzeczą, że na hasło zlotowe, w tym okręgu rzucone, setki szarych druhów przybyło do Przemyśla, aby na zlocie wykazać publicznie swą jedność i siłę, a tłumnym udziałem przyczynić się do uświetnienia jubileuszu macierzystego gniazda. Zlot to był tem bardziej uroczysty, że Przemyśl pierwszy z gniazd galicyjskich, powitał na nim delegatów świeżo założonego Sokoła z Warszawy i Petersburga. Przemyśl pierwszy miał sposobność gościć w swych murach druhów Sokołów z za kordonu, gdzie do niedawna samą myśl o Sokole tłumiono najcięższą represyą.

Zjazd drużyn sokolich rozpoczął się 7 b. m. w sobotę wieczorem. W dniu tym o godzinie 10 wieczór odbył się wieczorek powitalny, na którym prezes okręgu druh dr. Tarnawski w serdecznych słowach przywitał gości, zwróciwszy się szczególnie z wyrazami serdecznej radości i podzięki do delegatów Sokoła warszawskiego i petersburskiego. Delegacya Warszawiaków składała się z czterech druhów, byli to: prezes Sokoła warszawskiego, druh Klemens Starzyński, znany przemysłowiec warszawski, druh dr. Popowski, adwokat, druh dr. Jan Guirard, lekarz i druh Konstanty Radkiewicz, bankowiec. Delegatem Sokoła z nad Newy był druh Biegański z Petersburga. Zbiorową grupę tych delegatów z zaboru rosyjskiego zamieszczamy na obok załączonej fotografii Imieniem miasta powitał zastępy sokole druh dr. Doliński, burmistrz Przemyśla, a imieniem Wydziału Związku Sokolego druh Romanowski. W serdecznych słowach odpowiedział na powitanie jeden z delegatów warszawskich, poczem dzielny a liczny chór sokoli odśpiewał marsza sokolego, a kapela narodowa lwowska odegrała hymn narodowy.

Dzień zlotu rozpoczął się pobudką, odegraną przez kapelę narodową po głównych ulicach. Miasto całe było udekorowane flagami, we wszystkich prawie oknach widniały kartki, przedstawiające białego sokoła w czerwonem polu z napisem „Czołem“. Niestety, cała uroczystość, odbyć się musiała wśród stałej niepogody.

Od godziny 6 rano do 9 odbywała się na boisku próba ćwiczeń, poczem nastąpiła msza polowa dla uszykowanych drużyn. Po mszy wygłosił ks. dr. Momidłowski nadzwyczaj piękne, patryotyczne kazanie. Na załączonej obok illustracyi podajemy fotografię natchnionego kaznodziei, otoczonego druhami i druhiniami.

O godzinie 12 w południe rozwinął się wspaniały orszak pochodowy ośmiu drużyn, poprzedzonych oddziałem Sokołów konnych, pod przewodnictwem druha Stanślickiego — fotografię tego oddziału zamieszczamy również w dzisiejszym numerze — a kryty przez banderyę konną włościańską ze wsi Wyszatyc pod Przemyślem, prowadzoną przez druha Palejowskiego. W pochodzie tym wziął również udział oddział Sokoła włościańskiego z Pnikuta pod Mościskami. Przy dźwiękach dwóch orkiestr, a to kapeli narodowej ze Lwowa i miejscowej muzyki kolejowej, pochód skierował się pod ratusz, gdzie złożono hołd reprezentacyi miasta, a po złożeniu sztandarów w gmachu sokolim, rozwinął się pochód ku boisku.

Popołudniu o godzinie 5 rozpoczęły się ćwiczenia publiczne wśród deszczu, który już padał aż do wieczora, oblewając coraz gęściejszym strumieniem i widzów i ćwiczących Sokołów. Na załączonej obok illustracyi podajemy fotografię drużyn, zebranych przed ćwiczeniami na boisku. Z powodu deszczu odpaść musiały zastępy na przyrządach, a program wypełniły ćwiczenia wolne w 5 obrazach, ćwiczenia laskami, ćwiczenia druhiń maczugami i druhów lancami. Najpiękniej wypadły ćwiczenia druhiń.

Na zakończenie zlotu urządził Sokół przemyski w sali własnego gniazda raut, na którym było co najmniej 800 osób. Przy suto zastawionych stołach, udekorowanych kwiatami, zasiedli druhowie. Nadobne druhinie z wdziękiem i energią pełniły role gospodyń, wyróżniając na każdym kroku szczególniej sercu miłych Warszawian. Przyjęcie gości zakordonowych, którym w tak ciężkich warunkach udało się rozwinąć sokole skrzydła do lotu, było tak serdeczne i szczere, że do łez wzruszało obecnych i pozostanie zapewne na zawsze miłem wspomnieniem dla wszystkich uczestników zlotu.



Zlot Sokołów w Przemyślu: Oddział konnych Sokołów. Fot. dla „Nowości Illustr.“ M. Todt.



W gnieździe bocheńskiem: Ćwiczenia uczenic Sokoła bocheńskiego. Piramida obrazowa, ułożona z dziewcząt, przyszłych Sokolic, według pomysłu nauczyciela ćwiczeń p. Józefa Kozłowskiego, na ostatnim festynie w parku sokolim w Bochni. Fot. J. Gargul, Bochnia.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

18 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

— Przecie dzieckiem nie jestem! — łajał sam siebie i miał ochotę wypoliczkować się za to, że nie śmiał się ruszyć.

Ilona stała przy łóżku, mając zamiar rzucić się na miękkie, puchowe posłanie, kiedy naraz przestraszył ją jakiś szmer przy oknie.

Strwożona, z szeroko rozwartemi oczyma, spojrzała w stronę, skąd szmer dochodził, i aż krzykła z przestrachu, bo za portyerą zobaczyła nogę mężczyzny. Ale zanim zdołała dobiedz do ściany, aby zadzwonić na służbę, Marceli stanął tuż przy niej.

— Nie tak spiesznie, piękna Ilono — szydził. — Sama sobie pani zaszkodzi.

Patrzała na niego, jak na upiora z tamtego świata i dopiero po kilku minutach odzyskała mowę.

Krew jej zawrzała w żyłach z oburzenia, a równocześnie opanowała ją jakaś dziwna trwoga przed tym człowiekiem, który stał teraz przed nią z uśmiechniętem, brutalnem obliczem, jakby nie było na świecie nic, coby go zdołało przemódz.

— Jak ty śmiesz! — wybuchła — wdzierać się do mego pokoju?! Nie wiesz, że jakby się hrabia o tem dowiedział, to natychmiastby cię wyrzucił?

Marceli rozśmiał się.

— Niech pani zaprzestanie mówić w tym tonie. Moja Ilono, jesteś przecie za mądra, żebyś nie wiedziała, iż sam hrabia Pardua jest w mojej mocy. Nie może on mi zrobić nic, chyba zastrzelić mnie z zemsty, ale wiesz pani przecie, że właśnie moja śmierć byłaby nieszczęściem dla was obojga. Jednak, niema co więcej mówić o tych rzeczach. Ja się nie wdarłem do pokoju pani, bo pani mi przecie przyrzekła, że mogę ją całować, ile razy zechcę, a ja dzisiaj właśnie chcę zrobić początek.

Ilona cofnęła się krok w tył.

— Nie dotykaj mnie, nędzniku; może sądzisz, że jestem tak samo słaba, jak biedna, nieszczęśliwa żona pułkownika, u którego służyłeś, a która musiała się utopić ze zgryzoty, że tak, jak ja, wpadła w twoje ręce!

Przerwał jej brutalny śmiech.

— No, przynajmniej widać jaki taki postęp. Mówisz do mnie zawsze przez „ty“; widać, żeś przeczytała mój pamiętnik i ten list, pisany przez tę małą, głupią kobietkę przed jej śmiercią; mogłaś się tedy przekonać, że ze mną rzeczywiście żartów stroić nie można. Ciebie trzymam stokroć silniej w mych ręku, aniżeli miałem pułkownikową. Ale dosyć już tej gadaniny. Nie przyszedłem tu, ażeby się złościć, ale ażeby się bawić.

— Nie chcę być twoją zabawką! — wybuchła Ilona i wcisła się w kąt pokoju.

— Ale musisz, bo wiesz, co ja z tobą zrobić mogę. Zresztą masz wybór — dodał szyderczo — zadzwoń na służbę i powiedz, że ja cię napastuję, proszę — wskazał ręką elektryczny dzwonek — no, dzwońże!

A kiedy Ilona nie ruszyła się, podszedł do niej z uśmiechem i objął ją w ramiona.

— Chciałaś mnie trochę rozdrażnić, no i miałaś racyę, cała sprawa jest o wiele przyjemniejszą, kiedy się kobietę dopiero musi zdobywać.

Mówiąc to, objął delikatnie ręką jej kibić, ale ona uderzyła go swoją małą piąstką w piers tak, że aż się zatoczył. Natychmiast zmienił się wyraz jego twarzy.

Sycząc z gniewu rzucił się na Ilonę, tak przerażoną tym nagłym napadem, że się bronić nie mogła i wpił się swemi grubymi, zmysłowymi wargami w jej małe, delikatne usta. Teraz jednak Ilona zaczęła się bronić rozpaczliwie.

Z ust buchał mu odrażający jakiś zapach; poznała natychmiast, że był pijany. Drżała na całem ciele ze strachu i wstrętu.

Chciał ją rzucić przemocą na łóżko, ale i ona miała siłę, którejby się był po niej nikt nie spodziewał.

— Puść mnie! — krzykła, ale on odpowiedział:

— Ja cię potrafię zmusić!

Twarz jego miała teraz w sobie coś zwierzęcego, oczy zdały mu się wychodzić z pod czaszki, nozdrza rozszerzały mu się, nabierając coraz bardziej czerwonego koloru. Już czuła, że ją siły opuszczają, wiedziała już, że długo bronić się nie zdoła. Właśnie rzucił ją plecami na łóżko i krzyknął z radości, kiedy naraz rozległo się pukanie do drzwi, które Ilonie wróciło siły. Marceli jednak pukania, zdaje się, nie słyszał, bo wpił się swemi wargami w delikatne policzki Ilony. Dopiero zerwał się na równe nogi, kiedy pukanie stało się tak głośnem, że je musiał usłyszeć.

— Na miłość Boską — szepnęła Ilona — uciekaj temi drzwiami, to hrabia!

Myśl, że hrabia zastanie ją ze stangretem, wydała się jej straszniejszą, aniżeli oddanie się stangretowi.

— Odejdź, odejdź! — nagliła, on jednak stanął przed nią i zacisnąwszy z gniewu usta, ozwał się zimno:

— Nie, ja tu zostanę. Jesteś tak dobrze moją kochanką, jak i hrabiego!

Ilona zapomniała o wszystkiem, co ją otaczało, nie wiedziała, co czyni i instynktownie wprost porwała z kastlika mały rewolwer, w oprawie ze słoniowej kości. Pociągła za cyngiel i zawołała:

— Jeśli w tej chwili nie wyjdziesz, zastrzelę cię, jak psa!

Stangret, który w gruncie rzeczy był tchórzem, zobaczywszy lufkę rewolweru na siebie skierowaną, zawrócił odrazu ku drzwiom, prowadzącym do przyległego pokoju. A Ilona, widząc swoją przewagę, z podniesioną do góry bronią poszła za nim i wypędziła go precz, poczem szybko zamknęła za nim drzwi.

Marceli stanął za drzwiami i wściekły zawołał, grożąc pięściami:

— Odpokutujesz mi ty za to! Ja się zemszczę, po tysiąckroć się zemszczę, za tę klęskę dzisiejszego wieczora!

Po chwili poszedł na kurytarz i stanął przed drzwiami buduaru Ilony. Usłyszał, jak hrabia, który właśnie wszedł, pytał:

— Któż to był u ciebie, że mi nie otworzyłaś odrazu?

— U mnie? — odparła zdziwionym jakimś głosem. — Nie było nikogo. Tylko ja tak twardo zasnęłam. Ale nie patrzno na mnie tak niedowierzająco, powiedz raczej, co mi ładnego z miasta przywiozłeś.

Nastała chwliowa pauza, a Marcelemu zdawało się, że słyszy coś, jakby odgłos całusów. Odszedł więc wściekły na bok, ale po chwili zawrócił znowu i zaczął patrzeć przez dziurkę od klucza na to, co się działo w pokoju. Po twarzy jego przebiegł dziki skurcz. Zerwał się nagle jak oparzony i pobiegł ku drzwiom, prowadzącym do buduaru hrabiny Erny, gdzie się dopiero zatrzymał. Z początku nie wiedział, co ma zrobić, wreszcie zdecydował się i zapukał zrazu nieśmiało, potem silniej.

— Kto tam? — ozwał się z wnętrza jakiś miły, łagodny głos.

Z uniżonością odparł stangret:

— To ja, Marceli, stangret; mam jaśnie pani coś ważnego do powiedzenia.

— W tej chwili — odparła.

Oczy Marcelego zabłysły; niecierpliwie czekał, kiedy mu hrabina otworzy drzwi.

Wreszcie Erna, blada ze wzruszenia, bo obawiała się, czy się co może złego nie stało, otworzyła.

— Czy mogę wejść, jaśnie pani? — spytał skromnie Marceli — chciałbym, bo nie mogę pomówić tutaj na kurytarzu o tem, co chcę powiedzieć.

— Nie możesz się wstrzymać do jutra? — spytała hrabina zupełnie oszołomiona.

— Nie, muszę to zaraz powiedzieć, bo jutro straci to ogromnie na znaczeniu.

— W takim razie wejdź i zamknij szybko drzwi — rzekła, ściągając szlafrok, jakby jej było zimno.

— Jaśnie pani! Czy mogę mówić o mężu pani? — zapytał Marceli.

Ernę tak to pytanie zaskoczyło, że nie była w stanie odpowiedzieć. Marceli ciągnął więc dalej:

— Jeśli jaśnie pani chce się przekonać, że małżonek pani ją zdradza, to proszę, niech jaśnie pani idzie za mną.

Oczy jej się rozszerzyły z przerażenia i dopiero po dłuższej chwili odparła:

— Kłamiesz! Albo jesteś pijany! Idź precz, opuść mnie!

Na twarzy Marcelego ukazał się chytry uśmiech.

— Przepraszam! — odparł z psią iście uniżonością — sądziłem, że postępuję dobrze, uwiadamiając panią o tem, że małżonek pani zdradza panią z tą damą, która nibyto bawi w tym domu w gościnie — przepraszam; jeśli pani sobie życzy, to ja nic nie widziałem i nic nie słyszałem.

Chciał odejść, ale teraz wstrzymała go hrabina. Wprawdzie gardziła służbą, która się zajmowała szpiegowaniem, ale zbyt nie ufała Ilonie, żeby się nie chcieć przekonać, czy skrzywdziła męża, uważając go w głębi duszy za niewiernego.

— Masz dowody na to, co powiedziałeś? — spytała cicho, a głos jej drżał.

— Mam je — odparł. — Może jaśnie pani zechce pójść ze mną.

— Dokąd? — spytała z widocznem niedowierzaniem.

Marceli zauważył to i rzekł tonem doświadczonego starca:

— Niech się jaśnie pani z mojej strony nie obawia niczego. Ja wiem, że jaśnie pani otoczona jest intrygami i rozumiem zupełnie tę ostrożność, ale radzę pani, we własnym jaśnie pani interesie, niech pani pójdzie ze mną, a przekona się pani sama. Jeśli się pani mnie boi, to niech pani weźmie ze sobą broń. Widzi pani, że mam zupełną słuszność.

Przez chwilkę stała Erna pogrążona w myślach, potem twarz jej zaczęła dziwnie drgać, jak twarz płaczącego dziecka, wreszcie ozwała się dziwnie stłumionym głosem:

— Idź naprzód, idę za tobą!

Schody były bardzo skromnie oświetlone; cień jej chwiał się gigantycznie po białych, tynkowanych ścianach. Idąc za stangretem założyła ręce na piersi, jakby chciała przytłumić bicie własnego serca; sama później nie wiedziała, w jaki sposób znalazła się w ogrodzie, tuż przed oknami buduaru Ilony. Marceli przysunął jej ławkę pod okno i wskazując na nią, rzekł:

— Niech jaśnie pani stanie na ławce i zajrzy do pokoju. Proszę, niech pani zobaczy, a nie powie pani z pewnością, że ja kłamię.

Spojrzała na niego, jakby się obawiała, czy ten człowiek nie oszalał przypadkiem. Ale Marceli mówił dalej:

— Nie chce pani spojrzeć w okno, aby się naocznie o niewierności męża przekonać?

Słowa te podrażniły ją. Stanęła na ławce i delikatnie przysunęła twarz do szyby, zaglądając do pół zaciemnionego buduaru Ilony. Cisza naokół zalegała śmiertelna. Erna, patrząc przez szybę, zaczęła nagle drżeć, a twarz jej zbladła, jak płótno. Po chwili zachwiała się i byłaby upadła na ziemię, gdyby ją był stangret nie chwycił w ramiona. Oczy miała zamknięte, zdawało się, że straciła zmysły i później dopiero opadła na ziemię i przycisnęła czoło do ławki, tak silnie, że ją aż bolało.

Z dziką radością patrzał stangret na tę złamaną kobietę, która z bólu aż załamywała ręce. Teraz osiągnął to, czego chciał: pomścił się, skandal był nieunikniony. Kiedy się Erna podniosła i ukazała mu swoje, trupią bladością pokryte, oblicze, zrozumiał, że ta nikła kobieta posiadała na tyle energii, że na pewno wyrzuci zaraz Ilonę z domu, którego kalać nie pozwoli dłużej.

— Dobrze — rzekła cichym głosem — ile żądasz za to — za tę przysługę? — Chciała powiedzieć szpiegostwo, ale rozmyśliła się. Marceli jednak potrząsł głową i odparł obrażony:

— Jaśnie pani mnie zupełnie nie zna. Jeżeli zwróciłem jaśnie pani uwagę na to, że hrabia ją zdradza, to działałem tylko w interesie pani i jeżeli mogę o co prosić, to tylko o to, by jaśnie pani nie zdradziła mnie przed mężem.

I zwrócił się do odejścia.

— Możebyś mi dzisiaj jeszcze w nocy odniósł list? Bo po tem, co tutaj widziałem, będzie najwłaściwiej napisać list do — — — szepnęła cicho i złamana poszła ku drzwiom pałacu. Idąc długim kurytarzem, musiała ciężko opierać się ręką o ścianę. Miała takie uczucie, jakby dopiero wstała po długiej, uciążliwej i wycieńczającej chorobie. Czuła się tak osłabioną i biedną, że jednej tylko pragnęła rzeczy: umrzeć, umrzeć zaraz. Przyszedłszy do swego buduaru, opadła wyczerpana na fotel; z oczu jej nie spłynęła ani jedna łza, wzrok jej miał w sobie coś martwego, obcego. Apatycznie zwiesiła główkę na oparciu fotelu.

Z największą chęcią byłaby zarzuciła na siebie chustkę i uciekła z tego domu, w którym ją taka hańba spotkała. Mąż jej zdradzał ją ze swoją bratową! I teraz w duszy jej zbudziła się dopiero wątpliwość.

Czy Ilona była rzeczywiście jego bratową? Przecież Robert przedtem nigdy nie wspominał jej o bracie! A może ona jest tylko jego kochanką i zawsze nią była?

I ściemniło jej się przed oczyma na samą myśl.

że on znowu przyjdzie do niej ze swym serdecznym uśmiechem i eleganckiemi manierami. Drżała na samą myśl o tem, jak się z nim spotka, bo czuła do niego od tej chwili nieprzezwyciężony wstręt.

Musiała jednak zrobić coś, aby się ustrzedz przed nim, co jednak zrobić? Wypędzić tę kobietę, nazywającą się jego bratową, która ją zawsze tak czule całowała w czoło, czy też nie byłoby lepiej samej jej iść z domu i zostawić wszystko im obojgu?

Ukryła twarz w dłoniach, ale płakać nie mogła. Nie płakała, ale łkała boleśnie, tak, że cała jej postać drżała od bólu, jak osika na wietrze.

— Gdybym miała jednego tylko człowieka, któryby mi mógł coś poradzić, gdybym przy mym boku miała jedną choćby szczerą, a życzliwą duszę, ale ja nie mam nikogo, nikogo, komubym mogła zaufać!

Długo siedziała tak w milczeniu, pogrążona w myślach; wreszcie wstała i przeszła się kilka razy po pokoju. Twarz miała martwą, jakby z marmuru wykutą, a jej bajecznie marzące oczy zasnute były jakąś dziwną mgłą i patrzały jakoś dziwnie zimno. Była tak znużona i zniechęcona, że byłaby sobie odebrała życie, gdyby jej wiara od tego nie wstrzymała.

Usiadła przy biurku, mechanicznie wyjęła arkusz papieru, z dziwnym spokojem chwyciła pióro w rękę i zaczęła pisać.

Głucha cisza panowała w buduarze; tylko zegar tykał na kominku i szmer pióra, posuwanego po papierze, przerywał ją od czasu do czasu.

Skończyła, zapieczętowała kopertę i wyszła zobaczyć, czy Marceli jeszcze na nią czeka. Zaledwie otworzyła drzwi, z ciemnego kąta wysunęła się jakaś postać.

Był to Marceli, który rzeczywiście czekał tak długo.

— Byłabym bardzo rada — ozwała się — gdybyś mi ten list dzisiaj jeszcze zaniósł na pocztę.

— Według rozkazu, jaśnie pani! — odparł i skłonił się.

ROZDZIAŁ XXXI.

Hrabia Pardua ukazuje prawdziwe oblicze.

Na drugi dzień siedziała Ilona zadowolona przy boku hrabiego Parduy w jadalnym pokoju przy śniadaniu.

Stara maszynka do herbaty z prawdziwego srebra syczała na stole i podczas, gdy służący krzątał się koło niej, Ilona porządkowała kwiaty w żardynierce, ustawiała chleb, jaja, masło i miód w milutkim nieładzie, a kiedy służący wyszedł, szepnęła z szyderczym uśmiechem:

— No, twoja kochana małżonka znowu sama została na śniadaniu!

— Mogęż ja to zmienić? — spytał z niechęcią.

— Nie, pewnie, że nie — odparła — ale postaraj się o to, żebyśmy stąd pod jakimkolwiek pozorem mogli stąd jak najprędzej wyjechać, bo w tej monotonności jeszcze zwaryuję!

— Ślicznie, jak chcesz — zresztą masz racyę, i ja już stęskniłem się za zmianą! Pójdę potem do mojej żony i spytam się, czyby również nie chciała wyjechać.

— Żartujesz chyba! — zawołała przerażona.

— Nie, nie, mówię najzupełniej seryo; ale przecież sama przyzwoitość nakazuje mi się jej o to zapytać.

— To co innego — w takim razie idź zaraz, bo ja poprostu aż się trzęsę z niecierpliwości, aby kazać spakować manatki i wyfrunąć stąd, jak ptak, do wolności.

Hrabia ucałował ją w czoło, ona zaś otoczyła go swemi małemi, toczonemi ramiony i przyciągła jego głowę ku sobie.

— Robercie, mój ty — szeptała drżącym głosem — gdybyśmy ją tak jednak mogli sprzątnąć ze świata! Bo dopóki ona żyje, ja nigdy nie będę mogła korzystać z majątku przy twoim boku!

— Wiesz przecie — odparł, a oczy zabłysły mu ogniem — że dla ciebie zrobię wszystko, ale przecież tak niebezpiecznej rzeczy nie można bagatelizować. Czekaj na mnie tu, w jadalnym pokoju, to ci za chwilę odpowiem, czy i kiedy odjedziemy.

Skinął jej głową i wyszedł z pokoju. Ilona z wdziękiem i gracyą rzuciła mu na odchodnem kokieteryjny całus.

— Czy żona moja już wstała? — zapytał hrabia Robert pokojówki, która w przepokoju ścierała prochy.

— Z pewnością, jaśnie panie! — brzmiała odpowiedź. Hrabia więc wszedł odrazu, nie każąc jej uprzedzić.

Erna, która siedziała przy oknie, ukrywszy zbolałą głowę w dłoniach, nie zauważyła wcale jego wejścia, tembardziej, że miękki dywan tłumił zupełnie szelest kroków. Kiedy jednak Robert nagle stanął przed nią, zerwała się nagle na równe nogi, jakby stanęła na wężu.

Jej klasycznie piękna twarzyczka miała na sobie ślady cierpień i nieprzespanych nocy, o czem świadczyła bladość i głębokie, ciemne podkowy pod oczami. Teraz nie zdołała się zamaskować, ale patrzyła nań z nieukrywanem przerażeniem i wstrętem.

Hrabiego podrażnił ten wzrok, który zdawało się, przedzierał się w samą głąb jego duszy. Jej trupioblada twarzyczka przestraszała go; opanowało go głuche, nieme przeczucie. Dlatego, nie namyślając się długo, chciał wziąć ją za rękę i ucałować, ale Erna cofnęła się szybko, jakby ku niej zbliżył się jaki jadowity gad. Nie mówiła nic, tylko delikatne jej nozdrza drżały, a wzrok miał w sobie coś, co go przestraszało. Sumienie powiedziało mu, że ona wie już o wszystkiem, ozwał się więc niepewnym, jakby nie swoim głosem:

— Cóż tobie się stało, najdroższa Erno! Możeś ty chora?

Odetchnęła głęboko. Zdawało się, że musi zebrać wszystkie siły, aby módz odpowiedzieć — i rzeczywiście musiała się zmusić, aby pozostać zimną i spokojną, bo on nie powinien absolutnie wiedzieć, jak była wzruszoną i nieszczęśliwą. Oparła się silnie o poręcz krzesła, jakby w obawie, aby nie upaść, wreszcie jednak udało jej się odpowiedzieć:

— Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś mnie pan razem ze swoją kochanką opuścił i wcale już do mnie nie przychodził. Po tem, co widziałam dzisiaj w nocy, życzę sobie, abyś pan, panie hrabio, uwolnił dom mój od tej — damy, którą wprowadziłeś tutaj pod nazwiskiem hrabiny Pardua.

Udało jej się to mówić zupełnie spokojnie i zimno i patrzeć wprost w twarz hrabiego; nie uszło więc jej uwagi, że hrabia zbladł jak ściana.

— Kto mnie przed tobą obmówił? — wybuchnął, a żyły mu na czole nabrzmiały od gniewu.

A ponieważ Erna milczała, mówił więc dalej, jakby w przystępie szlachetnego gniewu:

— I ty, moja żona, uwierzyłaś takim bredniom — tego się nigdy nie spodziewałem — przysięgam ci — — —



....Stanęła na ławce i delikatnie przysunęła twarz do szyby, zaglądając do pół zaciemnionego buduaru Ilony.....

— Nie łżyj! — przerwała mu, drżąc na całem ciele — pokaż przynajmniej, że masz charakter, bo człowiek, który łże, w moich oczach jest nędznikiem!

— Erno! — krzyknął. — Więc ty mi nie wierzysz, jeśli ci świętą złożę przysięgę, że cię nigdy nie zdradziłem, że ci nigdy nie byłem niewierny?

Zbladła jeszcze bardziej, a w jej oczach zapłonęło słuszne oburzenie.

— Zaiste, mogłabym wątpić o twem pochodzeniu szlachetnem — pfui! I ty masz czelność kłamać mi tak bezwstydnie w oczy! — Nie broń się — przerwała mu, widząc, że chce coś odpowiedzieć — i nie kłam dalej, bo chyba nie zechcesz zaprzeczać temu, co ja na własne oczy widziałam. Nie myśl — dodała, widząc, że stoi jak oszołomiony — nie myśl, że to zazdrość mówi przezemnie, nie, to nie zazdrość! Obraziłeś moją godność kobiecą i możesz wiedzieć, że małżeństwo nasze od tej chwili uważam za zerwane. O formalnościach dowiesz się od mojego adwokata.

Zaniemiał. Czyż to była ta sama łagodna dziewczyna, z dawniejszych czasów, która tak do niego mówiła?

Nie wierzył jeszcze w to, że ona go rzeczywiście widziała podczas jego nocnych odwiedzin u Ilony; był przekonanym, że Erna, jak wszystkie zresztą kobiety, podejrzywa go z zazdrości i wyszukuje rozmaite przyczyny. Starał się więc raz jeszcze przekonać ją o swej niewinności.

— Tyś mnie nigdy nie kochała — mówił — bo nie mogłabyś w taki sposób do mnie się odzywać. Ja się nie wypieram, byłem wczoraj w buduarze bratowej, ale niech mnie Bóg ciężko skarze, jeżeli chociaż jednem słowem nie dotrzymałem ci wierności!

Krew jej uderzyła na twarz; sama wstydziła się go; nie chciała udowodnić mu jak na dłoni, że widziała go z Iloną w jej buduarze w najczulszem *tete a tete*. Nie mówiła więc ani słowa, bo byłaby nie potrafiła wykrztusić. Nigdy nie zdobyłaby się na to, aby własnemi usty powiedzieć mu, co widziała.

I kiedy tak zapłoniona stała, milcząc przez długą chwilę, Robert był przekonany, że zwyciężył i podszedł ku niej, chcąc ją ująć za ręce. A ponieważ oczy miała spuszczone, nie zauważyła jego ruchu. Dopiero, kiedy się jej dotknął, krzykła głośno, jakby ją co ukąsiło:

— Nie dotykaj mnie! — wybuchła. — Idź precz — ja nie zniosę ciebie przy sobie, albo na Boga, zawołam o pomoc!

Straciła zupełnie spokój i jak spłoszony ptak uciekała przed nim. Wtedy dopiero twarz Roberta zmieniła się.

Zwykła maska, zdobna serdecznym uśmiechem, znikła, a ukazała się jego prawdziwa, brutalna twarz.

Pójdź tutaj! — krzyknął na nią. — Jesteś moją żoną i masz mnie słuchać!

Mówiąc to, chwycił ją tak brutalnie za ramię, że aż krzyknęła z bólu i przyciągnął ją ku sobie.

— Puść mnie — puść! — mówiła prawie błagalnie, a krew jej ścięła się w żyłach na widok jego strasznego oblicza.

— Mów mi! — wołał wściekły — kto ci o tem doniósł?

Wtedy ozwała się w Ernie znowu kobieca duma. Odrzuciła piękną główkę w tył, złożyła pogardliwie usta i odparła:

— Tego ci nie powiem!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dwa miesiące działalności Dumy: W kuluarach pałacu Taurydzkiego w Petersburgu podczas przerwy posiedzenia Dumy; w strojach włościańskich wśród innych polscy posłowie.



Zamach na kasę skarbową: W dziedzińcu pasażu Simonsa w Warszawie, porwanie worków z pieniądzmi skarbowemi.

Dwa miesiące działalności Dumy.

Dnia 10 bm. minęły dwa miesiące od czasu, kiedy w Pałacu Taurydzkim zebrali się po raz pierwszy przedstawiciele narodów, Rosyę zamieszkujących, aby zasiąść do pracy nad odrodzeniem Rosyi. Dwa miesiące, to przy niesłychanie szybkiem tempie, w jakiem rozwija się obecne życie rosyjskie, okres bardzo poważny. Mnóstwo bardziej śmiałych nadziei w czasie tym już zostało pogrzebanych, zbyt wiele pesymistycznych przewidywań nie sprawdziło się.

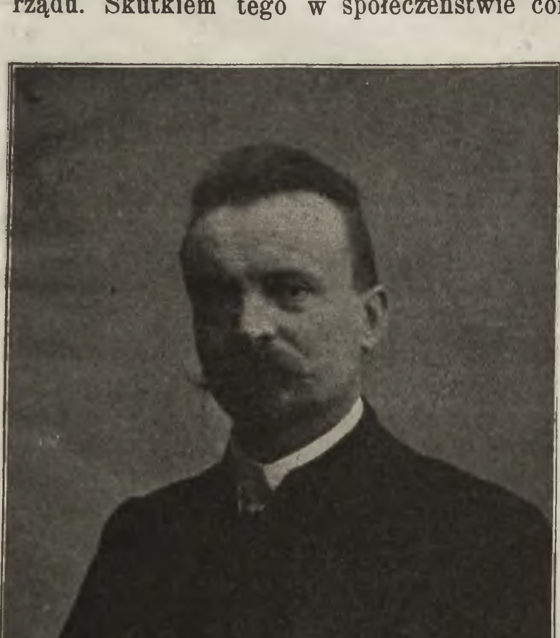
Dwumiesięczna działalność Dumy dostarczyła już dostatecznego materyału do rozstrzygnięcia kwestyi, czy naród rosyjski dojrzał do parlamentaryzmu i konstytucyonalizmu, czy nie. Odpowiedź wypadnie twierdząco. Duma nie da się wprawdzie porównać z którymkolwiek porządnym parlamentem europejskim, ale winą tego jest z jednej strony fakt, że warunki, w których Duma musi działać, są wyjątkowe, z drugiej zaś strony okoliczność,



Zarząd „Sokoła“ warszawskiego: Członek wydziału Stefan Dziewulski, adwokat przys., redaktor „Ekonomisty“.

że Duma jako parlament jest jeszcze za młoda i za mało doświadczona, aby można o niej jakikolwiek stanowczy sąd wydawać. Nie można przecież nie widzieć, że większość Dumy stanowią całkowici analfabeci polityczni, czego najlepszym dowodem jest choćby to, że dotąd nie nastąpiło w Dumie dokładne rozgraniczenie stronnictw. Nie ma się czemu dziwić. Nie mogła wyjść inna Duma z państwa, gdzie przez szereg stuleci wszelka myśl i wszelki ślad inicyatywy natrafiały na nieprzezwyciężone przeszkody ze strony rządu.

Syntezą całej dwumiesięcznej działalności Dumy jest sformułowana na najrozmaitsze sposoby i wyrażana przy każdej sposobności nieufność jej do rządu. Skutkiem tego w społeczeństwie coraz



Zarząd „Sokoła“ warszawskiego: Członek wydziału Jan Rudnicki, przemysłowiec, właściciel fabryki rzeźbiarsko-kamieniarskiej.

bardziej utwierdza się przekonanie, że dzisiejszy rząd powinien ustąpić miejsca gabinetowi, cieszącemu się zaufaniem Dumy. Upór, z jakim gabinet Goremykina broni starych ustaw i starych metod administracyjnych, popularyzuje tylko w ludności zasadniczą ideę parlamentaryzmu, wyrabia w szerokich masach zaufanie do Dumy, a to już rzecz wagi niemałej. Kontakt Izby ze społeczeństwem umacnia się z dniem każdym, co wpłynęło już na sfery dworskie w ten sposób, iż zarzucono tam zupełnie szaloną myśl rozpędzenia Dumy, na którą ma dzisiaj zwrócone oczy nietylko cała Rosya, ale i świat cały.



Zarząd „Sokoła“ warszawskiego: Członek wydziału Lucyan Kobyłecki, wiceprezes Tow. wioślarskiego.

Zamieszczając tych kilka słów o dwumiesięcznej działalności parlamentu rosyjskiego, podajemy obok illustracyę, przedstawiającą ruch w kuluarach Dumy, podczas przerwy w obradach. Widać tam posła Rodiczewa, przy biurku siedzi i pisze włościanin z Królestwa, Ostrowski, w swej barwnej sukmanie, w dali widać posła Błyskosza, również w sukmanie. Zresztą pełno tam typów i narodowości, których w Dumie reprezentowanych jest przeszło dwadzieścia.

Zamach na kasę skarbową.

Przed tygodniem w Warszawie dokonano między innymi niezwykle śmiałego zamachu na kasę skarbową. Mianowicie z kasy głównej zarządu kolei Nadwiślańskich, na 4 piętrze w pasażu Simonsa na Nalewkach wprost Bielańskiej, między godziną 1 a 2 popołudniu, wydelegowany członek związku moskiewskiego (arteli) przewoził pieniądze do kasy skarbowej przy ul. Rymarskiej. Za artelszczykiem Szczepiołkinem zniesiono w 6 workach 11.600 rubli srebrem, które umieszczono w dwu jednokonnych dorożkach po 3 w każdej. Do jednej z dorożek wsiadł artelszczyk S., który miał jeszcze przy sobie 60.000 rubli w papierach i monecie złotej, w drugiej dorożce zajął miejsce woźny Owieczkin, prócz tego do każdej z nich wsiadł konwojujący żołnierz z karabinem.

Gdy dorożki miały już ruszać, z sieni z zaułków domu wybiegło około 10 młodych ludzi, którzy w jednej chwili otoczyli dorożki. Gdy jedni chwyciwszy za cugle, przytrzymali konie, inni rzucili się do dorożek, usiłując rozbroić żołnierzy i pochwycić worki z pieniędzmi. Nim atakowani zdołali zdać sobie sprawę z położenia, jeden z żołnierzy Dymitr Borysienko został rozbrojony, drugi żołnierz, który borykając się, nie pozwalał wyrwać sobie karabinu, ugodzony kulą rewolwerową runął na ziemię. Artelszczyk i woźny wyskoczyli z dorożek i uciekli, co też uczynił rozbrojony żołnierz.

Atakujący stali się panami położenia, chwycili więc 4 worki z pieniędzmi i rzucili się do ucieczki przez jedną z bram, prowadzących na nową uliczkę między dwoma domami Simonsa, gdzie wskoczywszy do oczekującego na nich powozu, odjechali ulicą Długą. Wszystko to było dziełem chwili, tak, że gdy kilku żołnierzy pozostających na posterunku przy kasie opuściło się windą na podwórze, z napastników już nikogo nie było, a tylko niektórzy z mieszkańców domu oraz przechodnie, zwabieni hukiem wystrzałów rewolwerowych, zbierali srebrne ruble, wypadłe z pękniętego worka, leżącego na asfaltowem podwórzu. Na widok żołnierzy ludzie ci rzucili się do ucieczki, a uczynili to w porę, gdyż żołnierze dali ognia, na szczęście gdy już zbierających nie było.

Nadbiegła policya i wojsko, otoczyły dom, nie wpuszczając ani wypuszczając nikogo, wewnątrz zaś domu rewidowano wszystkich na dziedzińcu, odbierając znalezione przy nich monety. Sporo srebrnych rubli znaleziono w ustępie, co dało powód do mniemania, iż tam ukrył się ktoś z uczestników zamachu, okazało się jednak, iż to zbieracze pieniędzy ze względu na rewizyę, wyrzucili tam pozbierane ruble. Na ulicy Długiej ktoś z przechodniów niósł jeden worek z pieniędzmi pochwyconemi z dorożki, a ktoś inny idąc za niosącym, rozerznął worek i srebrne ruble potoczyły się po chodniku ku uciesze otoczenia.

Ile pieniędzy zabrano, dotychczas jeszcze się ściśle określić nie da.

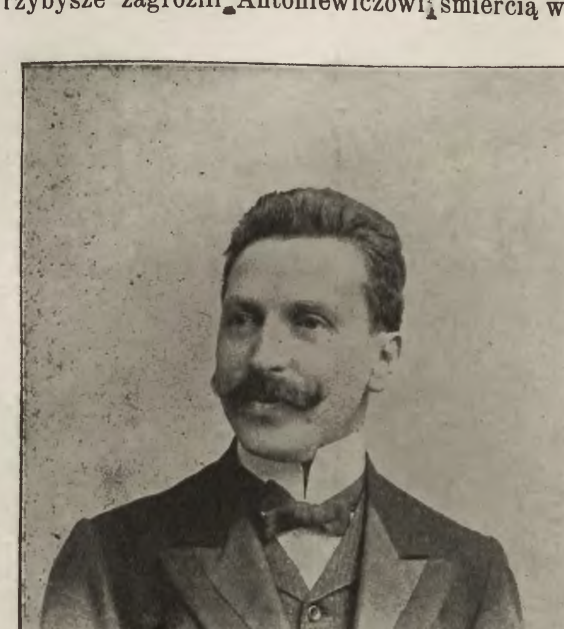


Zarząd „Sokoła“ warszawskiego: Członek wydziału Władysław Stpiczyński, urzędnik kolei nadwiślańskiej.

Bitwa pod Aleksandrowem.

(Do illustracyi tytułowej).

W sobotę o godz. 3 po południu 8 młodych ludzi, przyzwoicie ubranych, uzbrojonych w rewolwery, dokonało napadu na sklep monopolowy w osadzie Aleksandrowie, w pow. łódzkim, o 16 wiorst od Łodzi, przyczem zabrano około stu kilkudziesięciu rubli. Napastnicy przybyli z Łodzi 2 jednokonnemi dorożkami. Pozostawiwszy dorożki na rynku, w znacznem oddaleniu od sklepu monopolowego, udali się do niego pieszo. Trzech z nich pozostało na straży z frontu, trzech w korytarzu, a dwóch weszło do sklepu, w którym znajdował się podówczas zarządzający Antoni Antoniewicz. Przybysze zagrozili Antoniewiczowi śmiercią w ra-



Zarząd „Sokoła“ warszawskiego: Członek wydziału Emil Rauer, przemysłowiec, współwłaściciel fabryki,

zie usiłowania wzywania pomocy, weszli za ladę, wysunęli szufladę, zabrali z niej całą gotówkę, i, wydawszy kwit polskiej partyi socyalistycznej nr. 16, serya 910, na którym dopisano ołówkiem: „Skonfiskowano w monopolu nr. 276 tyle a tyle", wy-



Jeszcze echa bomby: Abt, zabity przez żołnierzy salwą, daną bezpośrednio po rzuceniu bomby na Konstantynowa w Warszawie.

szli, oświadczając Antoniewiczowi, aby pod karą śmierci nie alarmował nikogo.

Doszedłszy do oczekujących dorożek, napastnicy wsiedli w nie. Zaledwie jednak wyjechali za miasto, puścili się za nimi zaalarmowani czterej kozacy. Na drugiej jednak wiorście za Aleksandrowem, widząc, że ucieczka się nie uda, zeskoczyli z dorożek i ulokowawszy się w życie, przybrali postawę obronną.

Gdy nadjechali kozacy — gruchnęły strzały. Kozacy, zasypani gradem kul, rzucili się na przeciwników, wyparli ich z żyta i poczęli prażyć ogniem karabinowym. Jeden z uciekających padł, 7 zaś, odstrzeliwując się ciągle, pod nieustającym ogniem karabinowym ustępowało zwolna w kierunku lasu, należącego do wsi Adamów.

Wzajemne to ostrzeliwanie i ustępowanie uciekających przed kozakami ciągnęło się na przestrzeni 2 wiorst. Kilku broniących się odniosło rany, pomimo to bronili się dalej, kozacy zaś nacierali coraz silniej. Po blisko półgodzinnej walce, widząc, że zwycięstwo przechyla się na stronę kozaków, pozostawiając dwóch zabitych towarzyszów, zdołali wpaść do lasu i zniknęli. Walka trwała przeto blisko 5 godzin. Ogółem dano około 600 strzałów. Kozacy opowiadają, że przeciwnicy mieli po 2 rewolwery i strzelali z obudwu rąk. Z ośmiu przeto przybyszów 3 zabito, 5 zbiegło, ale, jak twierdzą kozacy, tylko jeden nie był raniony. Inni mieli liczne i ciężkie rany.

Przy zabitych oprócz browningów i nabojów, nic nie znaleziono. Nazwiska ich są niewiadome.

Zarząd „Sokoła" Warszawskiego.

Świeżo zlegalizowane polskie Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" w Warszawie rozpoczęło ćwiczenia w czterech salach, przy których zarazem mieszczą się kancelarye, a mianowicie: przy ulicy Królewskiej Nr. 23; przy ulicy Foksal Nr. 19; przy ulicy Szopena Nr. 3 i przy ulicy Obożnej Nr. 1. Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" rozpoczęło też działalność na prowincyi, organizując w myśl zlegalizowanego statutu oddziały w różnych miastach. Wszczęto robotę organizacyjną w Zagłębiu Dąbrowskiem i w Łodzi. Zarząd tymczasowy Tow. gimn. „Sokół" stanowią pp.: Stefan Dziewulski, dr Jan Guirard, Lucyan Kobyłecki, Karol Noskiewicz, St. Popowski, Emil Rauer, Jan Rudnicki, Klemens Starzyński, Władysław Stpiczyński.

Podajemy dziś fotografie pięciu druhów wydziałowych, innych bowiem już podobizny zamieściliśmy poprzednio.

Olbrzymi pożar.

Dnia 2 lipca wybuchł w Hamburgu olbrzymi pożar, który zniszczył znaczną część miasta, a między innymi i starożytny kościół św. Michała.

Dwie minuty po godzinie 2 po południu ujrzano na wieży tego kościoła maleńkie obłoczki dymu i jakieś małe światełka; nim zdołano pojąć, co to znaczy, już buchnął ogromny słup dymu z wieży i okrył ją niby ogromnym baldachimem, wirującym na wietrze i rozszerzającym się coraz bardziej. Po chwili dym się nieco usunął i widać było tylko miotłę ognistą, strzelającą wysoko w górę. Gorąco było okropne, żar południa mieszał się z żarem ognia i czynił z ulicy piekło prawdziwe. Wokoło słychać było tylko syczenie i grzehotanie ognia, trzepotały się jasne płomienie w szalonym wichrze; odrazu można było poznać, że kościół jest stracony. O godzinie 3 kwadranse na czwartą pożar rozszerzył się na całą dzielnicę angielską i w płomieniach stanęło około 60 domów. Istne morze ognia rozszalało się w przepotężnej mocy. O godzinie pół do czwartej upadł z łoskotem zegar wieżowy, a za nim zaczęły się walić wiązania i rusztowania, belki i spadać z głuchym, ponurym łoskotem w otchłań. Płomienie ogarnęły także cały kościół i przez poprzepalane i poprzegryzane przez ogień ściany widać było 8 kolumn charakterystycznych w budowie kościoła, wśród których przewijał się ogień w szalonych skrętach. Naokoło kościoła zgromadziły się tłumy ludzi, cisnących się i roztrącających, które wojsko i policya białą bronią rozpędzać musiała, a usunąć je koniecznie była potrzeba, bo wieża lada chwila groziła zawaleniem. Wszystkie okoliczne domy zostały delożowane, a żar był tak straszny, że szyby u okien i mury domów okolicznych pękały, a druty telefoniczne, telegraficzne i przewodniki tramwaju elektrycznego roztopiły się i pospadały na ziemię. Bruk parzył podeszwy bucików, konie stojące przy sikawkach nie mogły ustać na miejscu i rwały się rozpaczliwie do ucieczki, a belki pękały i waliły jedna za drugą w otchłań ognia.



Olbrzymi pożar: 130 metrów wysoka wieża św. Michała w Hamburgu w chwili, gdy miała runąć podczas pożaru.

O godzinie 3 minut 7, runęła wieża kościoła z ogromnym łoskotem, na szczęście do środka, gdyż inaczej tysiące ofiar by pochłonęła. Na chwilę ogień ustał i tylko dym i proch nad gruzami się unosił, lecz po chwili wybuchł jeszcze z większą siłą, jakby na tryumf dokonanego dzieła. Okrzyk grozy i boleści wydarł się z piersi hamburskiego ludu, ich ozdoba i chwała, kościół odwieczny runął na wieki, runął odrazu, jak bohater, ale zginął bezpowrotnie i zasłonił się sam z boleści na długą chwilę czarnym obłokiem dymu i kurzu.

A tymczasem ogień szedł coraz dalej, niosąc śmierć i zniszczenie. Jedynie dzięki temu, że wiatr był słaby, jako też dzięki energicznej akcyi ratunkowej, udało się zapobiedz rozszerzeniu się ognia na całe miasto.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy fotografię, przedstawiającą straszliwą chwilę runięcia wie-



Olbrzymi pożar: Kościół św. Michała w Hamburgu przed pożarem.

ży kościoła św. Michała, z którego została jeno kupa gruzów i popiołu. Na drugiej illustracyi podajemy fotografię tego kościoła, jednego z najpiękniejszych w Hamburgu, z wieżą wysoką na 135 metrów, przed pożarem.

Złodziej zabity przez żandarma.

W ubiegłym tygodniu przebił w Brzuchowicach pod Lwowem żandarm, pełniący służbę, złodzieja, który zakradał się do wnętrza pewnej willi.

Wypadek ten, który w całych Brzuchowicach, ulubionem obecnie przez Lwowian miejscu klimatycznem, wywołał niebywałą sensacyę, miał przebieg następujący:

W nocy z wtorku na środę ubiegłego tygodnia usiłowało dwóch złodziei dostać się do wnętrza willi p. Danka. Na gorącym uczynku schwytał ich pełniący w ową noc służbę żandarm Czulak i obu przyaresztował. Wówczas jeden z rzezimieszków rzucił się na żandarma i powalił go na ziemię. a gdy żandarm się podniósł, usiłował go ugodzić jakiemś tępem narzędziem. Żandarm Czulak szczęśliwie uniknął ciosu, a parując uderzenie rzezimieszka swoim bagnetem, przebił go tak silnie, iż ten na miejscu padł trupem. Zwłoki zabitego złodzieja zostały na miejscu wypadku, złodzieja zaś drugiego odstawiono do Lwowa, gdzie w nim policya poznała dobrze sobie znanego Dmytra Przyjmę, w narzeczu złodziejskiem zwanego „Cyganem“. Zawiadomiona o wypadku policya lwowska, wysłała do Brzuchowic ajenta Gnappa, który rozpoznał w zabitym przez żandarma złodzieju, również znanego policyi i wielokrotnie już karanego rzezimieszka Daniela Hiszczaka, zwanego przez towarzyszy zawodowych „Langiem“, z powodu wysokiego wzrostu. Mieszkał on stale w Kleparowie, liczył około 50 lat i był żonaty. Pobyt we Lwowie miał zakazany.

W czwartek rano była na miejscu wypadku komisya sądowo-lekarska, a do tego czasu zwłoki zabitego leżały w pobliżu willi i z powodu upału poczęły się już rozkładać.

Rycina nasza przedstawia zwłoki Hiszczaka, przykryte gałęziami wiśniny, leżące na miejscu wypadku. Obok stoi ów żandarm Czulak, który w obronie swego życia przebił Hiszczaka, oraz ajent policyi lwowskiej Gnapp, który agnoskował zabitego złodzieja.

Nowy nadprokurator państwa we Lwowie.

Kiedy przed kilku tygodniami zmarł starszy prokurator państwa we Lwowie śp. Henryk Hayderer, pojawiły się zaraz głosy, iż następcą zmarłego na stanowisku starszego prokuratora będzie obecny prezydent sądu obwodowego w Stryju pan Alfred Hinze. Zapowiedzi te spełniły się w zupełności, bo oto przed kilku dniami przyniosły depesze z Wiednia wiadomość o zamianowaniu p. Hinzego starszym prokuratorem państwa we Lwowie.

Nowy nadprokurator, jest człowiekiem w sile wieku, urodził się bowiem w r. 1848. Po ukończeniu studyów prawniczych w rodzinnem mieście Lwowie, wstąpił na praktykę do sądu, i pracował kolejno we Lwowie, Mikołajowie i Żółkwi. W r. 1887 mianowany został zastępcą prokuratora w Samborze, a w trzy lata potem powrócił do Lwowa, w charakterze zastępcy nadprokuratora państwa. W r. 1893 jako radca sądu kraj. przeniesiony został do Stanisławowa na stanowisko prokuratora, skąd w r. 1897 powołano go na prezydenta sądu obwodowego w Stryju. Na stanowisku tem pozostawał aż do ostatnich dni.

P. Alfred Hinze potrafił sobie swą wiedzą fachową, swem obejściem ogromnie uprzejmem i za-



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.

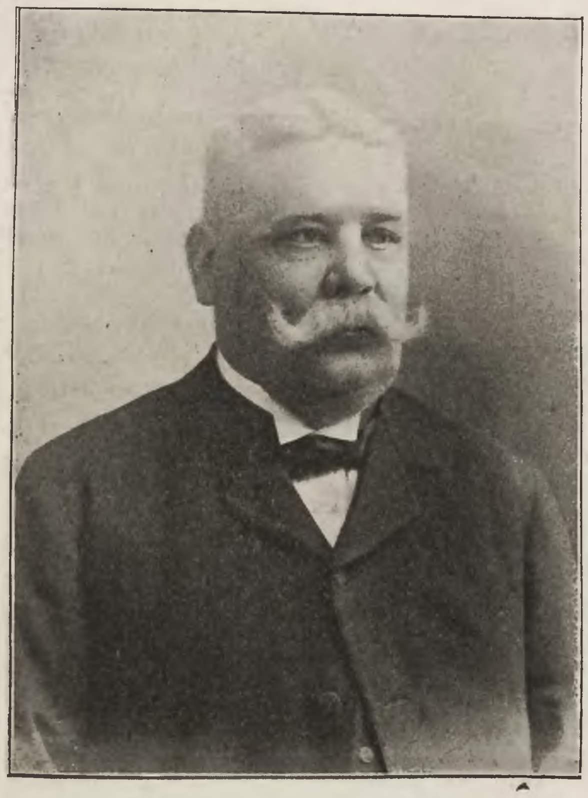
Złodziej zabity przez żandarma: Na miejscu wypadku, zwłoki złodzieja Hiszczaka, zabitego przed willą Danka w Brzuchowicach przez żandarma. Obok żandarm Czulak (1), który w obronie swego życia przebił Hiszczaka i ajent policyi lwowskiej Gnapp (2), który zabitego rzezimieszka agnoskował.



Zdjęcie zakładu fot. T. Bahrynowicza ze Lwowa.

Nowy nadprokurator państwa we Lwowie: Grupa urzędników sądowych w Stryju ze swym dotychczasowym prezydentem Alfredem Hinzem (×), który został mianowany nadprokuratorem państwa we Lwowie.

letami charakteru zjednać zawsze i wszędzie, gdzie jako urzędnik przebywał, miłość i zaufanie ogólne, zwłaszcza u swych podwładnych. To też i obecnie urzędnicy sądowi w Stryju, szczerze zasmucili się



Ustąpienie dwu dyrektorów szkół lwowskich: Dr. Teofil Gerstman, dyr. I szkoły realnej we Lwowie, usuwający się po 42 latach pracy pedagogicznej w zacisze domowe.

wiadomością o tem, że ich szef przenosi się do Lwowa. Wyrazem tego żalu było uroczyste pożegnanie, w jakiem wzięli udział wszyscy urzędnicy sądu stryjskiego. Na pamiątkę tego pożegnania uczestnicy odfotografowali się wspólnie, a zdjęcie zrobił zaproszony w tym celu ze Lwowa kierownik zakładu fot. firmy T. Bahrynowicza, p. Stetkiewicz. Reprodukcyę tego zdjęcia zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Ustąpienie dwu dyrektorów szkół lwowskich.

Równocześnie z czteru poniżej wymienionymi profesorami szkół średnich we Lwowie ustąpili w tych dniach ze stanowiska dyrektorów pp.: dr Teofil Gerstman, dyrektor I-szej szkoły realnej we Lwowie i dr Karol Petelenz, dyrektor IV-go gimnazyum.

Dr. Teofil Gerstman urodził się w r. 1843 w Grabiu pow. jasielskiego, do szkół średnich i na uniwersytet uczęszczał we Lwowie. Już jako słuchacz II roku filozofii rozpoczął żmudny zawód nauczycielski, jako suplent gimnazyum akademickiego. Po ukończeniu studyów i uzyskaniu stopnia doktora filozofii, został mianowany rzeczywistym nauczycielem szkoły realnej we Lwowie i był już w r. 1872 przez jakiś czas prowizorycznym kierownikiem tej szkoły i jej filii. Pracował też jako profesor w gimnazyum niemieckiem. W r. 1889 został mianowany dyrektorem szkoły realnej i stanowisko to zajmował aż do końca bieżącego roku szkolnego. Kierował tedy przez lat 17 tym zakładem.

Przez pełnych lat 29, t j. od 1873 do 1880 a następnie od 1880 do 1905 zasiadał w radzie miasta Lwowa, gdzie będąc członkiem sekcyi szkolnej i delegatem do Rady szkolnej krajowej przez trzy kadencye, dał się poznać, jako znakomity znawca stosunków szkolnych. Należał też do Tow.



Ustąpienie dwu dyrektorów szkół lwowskich: Przechodzący na emeryturę dr. Karol Petelenz, dyrektor IV gimnazyum we Lwowie, który zakłada gimnazyum prywatne imienia Adama Mickiewicza. (Fot. „Kordyan“, Lwów).



Zdjęcie zakładu fotografa nadw. N. Lissy we Lwowie.

Zasłużeni pedagogowie: Ustępujący z gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie profesorowie dr. Ludwik Kubala (1), Józef Czernecki (2), Wiktor Kłak (3) i dr. Konstanty Łuczakowski (4). W środku obecny dyrektor zakładu poseł dr. Franciszek Tomaszewski (5).

pedagogicznego i przez 25 lat był jego wiceprezesem. Wspólnie z dr Józefem Żulińskim wprowadził w życie instytucyę kolonii wakacyjnych. W roku poprzednim zorganizował pamiętną wycieczkę młodzieży szkół średnich do Rzymu. Za zasługi około budzenia ducha religijnego wśród młodzieży, otrzymał od papieża Piusa X order „pro ecclesia et pontifice“. Obecnie, spędziwszy pełnych 42 lat



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Czesław Zaremba.

na ciężkiej pracy pedagogicznej, usuwa się w zacisze życia domowego.

Dr Karol Petelenz, ustępujący dyrektor IV gimnazyum we Lwowie, urodził się w 1847 r. w Stanisłarczyku, a ukończywszy we Lwowie szkoły średnie i wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, studyując nauki klasyczne i nowszą literaturę, został mianowany zastępcą nauczyciela w gimnazyum w Suczawie; w tym samym charakterze pracował w gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, następnie jako rzeczywisty nauczyciel w gimnazyum w Jaśle, oraz w gimnazyum św. Jacka w Krakowie. W tym czasie (1878) otrzymał stopień dra filozofii i habilitował się, jako docent języka i literatury niemieckiej na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Od r. 1884 jest członkiem komisyi dla historyi literatury i oświaty w Polsce w krakowskiej Akademii Umiejętności. Po kilku latach wrócił do szkół średnich i został w r. 1880 dyrektorem gimnazyum w Sanoku. Z Sanoka przeniósł się do Stryja, gdzie od r. 1881 do 1904 był dyrektorem tamtejszego gimnazyum. W czasie pobytu w Stryju doprowadził do skutku bardzo doniosłe dzieło, a mianowicie utworzenie bursy dla ubogich uczniów-Polaków gimnazyum. Miejsc w tej bursie (im. Adama Mickiewicza) jest 47. Bursa posiada obecnie, oprócz bardzo pięknego budynku, przeszło 37 tysięcy koron w funduszu zakładowym. Od 1904 do dziś był dr Petelenz dyrektorem gimnazyum IV we Lwowie.

Nazwisko dr Petelenza znane jest również w literaturze, jako autora szeregu wybornych rozpraw naukowych i literackich. Tu należą np. „Albrechts v. Haller Bedeutung für das Aufkommen einer neuen besseren Zeit in der deutschen Dichtkunst“, „Konrads v. Würzburg Leben und Bedeutung“, „Kilka uwag o znaczeniu i nauce języka niemieckiego w gimnazyum“, „Referat o nauce języka niemieckiego“, dalej sporo artykułów w czasopismach naukowych, literackich i pedagogicznych.

Ustępując obecnie po przeszło 30 letniej pracy w zawodzie ze stanowiska dyrektora gimnazyum, nie usuwa się bynajmniej od pracy pedagogicznej, od służby obywatelskiej. Dr Petelenz zakłada mianowicie we Lwowie prywatne gimnazyum im. Adama Mickiewicza, które będzie pod każdym względem wzorowo urządzone. Pracy dra Petelenza na nowem stanowisku życzyć należy jak najpiękniejszych i najpomyślniejszych wyników.

Zasłużeni pedagogowie.

W ubiegłym tygodniu rozstała się młodzież i grono nauczycielskie gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie z czteru wieloletnimi profesorami tego zakładu, wielce zasłużonymi pedagogami, którzy po wysłużeniu swych lat usuwają się z posterunku pracy zawodowej w zacisze życia domowego. Profesorami tymi są pp.: dr Ludwik Kubala, Józef Czernecki, Wiktor Kłak i dr Konstanty Łuczakowski.

Najpowszechniej znane jest nazwisko pierwszego z nich, prof. dr Kubali, który wsławił się w literaturze i nauce polskiej swymi znakomitymi „Szkicami historycznymi“. Urodzony w r. 1838 w Kamienicy w Galicyi, ukończył gimnazyum św. Anny w Krakowie, a na uniwersytet uczęszczał we Wiedniu i Krakowie, gdzie też uzyskał stopień doktora filozofii. W r. 1863 wziął czynny udział w walce o niepodległość narodu i z ramienia Rządu Narodowego organizował Galicyę. Za udział w powstaniu dostał się do więzienia, po uwolnieniu zaś otrzymał z wielkimi trudnościami posadę suplenta przy gimnazyum Franciszka Józefa we



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Wanda Hendrychówna.

Lwowie, gdzie też z jednoroczną przerwą pełnił obowiązki profesora historyi i propedeutyki filozofii aż po dziś dzień, t. j. pełnych trzydzieści ośm lat.

Zasługi prof. Kubali około nauki polskiej uwieńczyła krakowska Akademia umiejętności, mianując go swym członkiem korespondentem, a w r. 1903 czynnym członkiem. Najwyższe to uznanie dla uczonego polskiego należało się dr Kubali w pierwszej linii za jego przepiękne „Szkice historyczne“, dzieło dwutomowe, na którem głównie oparł się Sienkiewicz, pisząc „Ogniem i mieczem“. Prof. Kubala, to mąż nieskazitelnego charakteru, prawy obywatel kraju, jeden z najlepszych synów Ojczyzny.

Bardzo sympatyczną jest również postać prof. Józefa Czerneckiego. Ustępuje po 36 latach pracy zawodowej. Brał udział w powstaniu styczniowem, potem służył w wojsku austryackiem, a dopiero nakoniec poświęcił się zawodowi pedagogicznemu, jako nauczyciel języka niemieckiego i kaligrafii. Wychowanek i uczeń gimnazyum brzeżańskiego, poświęcił temu gimnazyum z okazyi stulecia piękną monografię. Od szeregu lat jest gorliwym członkiem Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Z inicyatywy jego powstała przy tem Towarzystwie fundacya im. Adama Mickiewicza, przeznaczona dla wdów i sierót po nauczycielach szkół średnich. Z drobnych, centowych składek, zbieranych przez prof. Czerneckiego przy każdej sposobności, urósł fundusz kilkudziesięciotysięczny. Dziełem tem może się prof. Czernecki słusznie chlubić.

Prof. Wiktor Kłak, ustępujący równocześnie, ma za sobą pełnych 34 lat ciężkiej a chlubnej pracy nauczycielskiej w gimnazyach w Tarnopolu, w Złoczowie i ostatnio w gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie. Jako profesor filologii klasycznej, szczególniej gorliwie zajmował się życiem i dziełami Korneliusza Neposa i wydał do nich kilka znakomitych komentarzy.

Dr. Konstanty Łuczakowski, uczeń gimnazyum w Brzeżanach, po ukończeniu filozofii pracował przez szereg lat w gimnazyum brzeżańskiem, potem został przeniesiony do gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, gdzie uczył filologii klasycznej. Nadto był w kilku gimnazyach nauczycielem języka ruskiego.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy grupę profesorów gimnazyum Franciszka Józefa z dyrektorem posłem dr Tomaszewskim, oraz czteru ustępującymi profesorami.



Z jarmarku krajowego we Lwowie: Pawilon „Eleuteryi“ na placu jarmarku krajowego we Lwowie; przy stole prezes lwowskiej „Eleuteryi“ Włodzimierz Tepa (X).

Z jarmarku krajowego we Lwowie.

Urządzony na placu powystawowym we Lwowie jarmark wyrobów krajowych w ciągu bieżącego tygodnia zostanie zamknięty. Poświęciliśmy mu w jednym z poprzednich numerów ogólny opis, dziś tedy uzupełnimy go tylko kilku szczegółami, na osobną wzmiankę zasługującymi.

W pierwszej linii zasługuje na to pawilon pp. Aleksandra i Jakóba Lewickich, młodych, zdolnych i wykształconych fachowo przemysłowców, którzy objąwszy przed kilku laty znany powszechnie magazyn porcelany i szkła pod firmą „Kazimierz Lewicki“, magazyn ten rozszerzyli i postawili na europejskiej stopie. Założyli ponadto fa-

Z pawilonów z artykułami spożywczemi, najsympatyczniejszą jest gospoda „Eleuteryi“. Zbudowana z namiotów wojskowych, udzielonych uprzejmie przez generała komenderującego p. Brudermana, pomieścić może kilkadziesiąt osób, żądnych kwaśnego i słodkiego mleka, bezalkoholowego wina „Ceres“, takiegoż szampana „Turul“ i innych „eleuterycznych“ napojów.

Tydzień opery lwowskiej w Krakowie.

Tydzień ubiegły rozpoczęto Wagnerowskim „Lohengrinem“. Chociaż produkcyi tej niezdołano dostatecznie przygotować, to jednak dała ona kilka pięknych momentów krakowskim wagneryanom, tytułową śpiewał p. Malawski, wywiązując się z zadania ku chwale, zarówno dla swych zdolności śpiewaczych, jak i aktorskich. Partnerami byli pp.: Ludwig, artysta umiejący drobną nawet partyą, zainteresować słuchacza, tudzież p. Paszkowski. Partye kobiece odśpiewały p. Hendrichówna tudzież p. Mokrzycka. P. Hendrich (obok jej podobizna) znalazła w partyi Loty pole do popisu dla swego pięknego, o metalicznem brzmieniu, niosącego głosu, którym dzięki dobrej szkole włada — mimo krótkiej praktyki scenicznej — swobodnie, umiejąc nadać mu odpowiednie zabarwienia, a w miarę potrzeby i siłę. Głos młodocianej artystki posiada nadto gładkość, tudzież czystość dźwięku, świadczącą o wybitnej muzykalności. Poza śpiewacką





Z jarmarku krajowego we Lwowie: Fot. M. Münz, Lwów.

Pawilon Fabryki cukrów i herbatników T. Höflingera. Pawilon Jakóba i Aleksandra Lewickich: wewnątrz malują robotnicy na porcelanie.

brykę malowania na porcelanie. W pawilonie ich na jarmarku znajduje się bardzo okazała, gustownie urządzona wystawa, najbardziej jednak interesującym tam jest widok robotników, którzy w oczach zwiedzającej publiczności malują ręcznie porcelanę.

Z innych pawilonów warto wspomnieć o pawilonie p. Tadeusza Höflingera, również młodego przemysłowca, który we Lwowie ma bardzo dużą i doskonale się rozwijającą fabrykę cukrów i herbatników.

Nakoniec wspomnieć warto o wystawie zakładu artystycznego dla lakiernictwa szyldów, trawienia szyb, rytownictwa i malowania p. Leona Appla. Zakład p. Appla, fachowca za granicą wykształconego, istnieje we Lwowie od lat kilkunastu.

dzięki p. Kasprowiczowej, niezrównanej Ortrudzie, p. Mosoczemu, poprawnemu w partyi króla i p. Ludwigowi, śpiewającemu z powodzeniem Telramunda oraz p. Paszkowskiemu, wybornemu heroldowi. P. Muszyński zasłużył na uznanie za dobre chęci, które pozwolą mu niewątpliwie dać postać Lohengrina doskonalszą, przy najbliższej sposobności. Elsę śpiewała poprawnie p. Colignon-Szymańska.

Nowością obudzającą wielkie zainteresowanie była opera Masseneta „Werther“ przygotowana i wystawiona bardzo starannie.

Dzieło to ujmuje wytwornością i wdziękiem formy, tudzież robotą techniczną, pełną pięknych zwrotów harmonicznych i melodyjnych, dających słuchaczowi wielką sumę artystycznych wrażeń i wiele chwil mile spędzonych w teatrze. Partyę

stroną partyi, ujmuje artystka audytoryum dziewczęcym wdziękiem postaci — postaci pełnej prawdy i świeżości. P. Mokrzycka, jako Zosia była hożem dziewczątkiem, śpiewającem z artystyczną miarą.

W „Pajacach“, które powtórzono, zwrócił baczniejszą uwagę p. Zaremba. Młody, obiecujący śpiewak wnosi na scenę wiele przymiotów pozwa-



Z jarmarku krajowego we Lwowie: Wystawa zakładu Leona Appla. (Fot. dla „Nowości Illustr.“ Marek Münz).

lających wróżyć mu piękną przyszłość artystyczną, bo zdrowy, piękny materyał głosowy, zadatki nieprzeciętnych zdolności aktorskich, zapał artystyczny i dzielną męską postawę. Młody śpiewak, jakkolwiek stawia pierwsze kroki na scenie, to staje na niej już pewnie i silnie. Po zdobyciu praktyki scenicznej — po obyciu się z warunkami sceny i jej perspektywy, będzie z p. Zaremby tęgi artysta — *urs.* —



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Bandytyzm w Krakowie: Sklep Aratena na Stolarskiej w Krakowie, zaraz po napadzie, kiedy zapuszczono żaluzye, a gawiedź rozpytywała się o szczegóły tajemniczego zamachu. (Do art. na str. 20).

Rożdiestwieński przed sądem.

Przed sądem wojennym w Kronsztadzie rozgrywał się od 7 do 10 bm. proces admirała Rożdiestwieńskiego, oskarżonego o oddanie w bitwie pod Czuszimą torpedowca „Biedowy“ prawie bez oporu Japończykom. Oprócz naczelnego wodza oddanych zostało pod sąd kilku oficerów, również o niespełnienie żołnierskiej powinności oskarżonych. Admirał Rożdiestwieński nie miał obrońcy, a w mowie swej, zamiast się uniewinnić, oskarżył się sam, twierdząc, że on jeden winien jest klęski czuszimskiej; prosił też sąd, aby tylko jego samego jak najsurowiej ukarano. Sąd wojenny, zważywszy łagodzące okoliczności, między innymi i to, że Rożdiestwieński ciężko ranny i silną mając gorączkę, nie mógł należycie spełnić swego obowiązku, wydał wyrok uwalniający nieszczęśliwego admirała od winy i kary. Czterech natomiast oficerów, którzy świadomie i dobrowolnie, przy zdrowych zmysłach, poddali się Japończykom, skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie. Polecono ich jednakże łasce monarszej. Według doniesień pism rosyjskich, wszyscy prawdopodobnie zostaną ułaskawieni i zostawieni na wolności, z utratą jedynie rangi marynarskiej.

Zamieszczona obok illustracya przedstawia chwilę z procesu, kiedy admirał Rożdiestwieński, wygłasza swoją obronę, będącą raczej samooskarżeniem.



Rożdiestwieński przed sądem: Admirał Rożdiestwieński (X) przed sądem wojennym w Kronsztadzie wygłasza swoją obronę, będącą raczej samooskarżeniem.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

15 (Ciąg dalszy).

Radziła stara klucznica, jak mogła, lecząc chorą panią środkami domowemi.

Dziedziczka jednak spędziła w łóżku cały tydzień bez przerwy, zanim się jej polepszyło.

Kilkakrotnie w ciągu tego czasu prosiła, by jej synów przyprowadzono na chwilę. Ale mimo usilnych starań Tekluni w tej mierze, nie mogło się stać ani razu zadość jej życzeniom.

Dziedzic za radą Felicyi zabronił surowo.

Zresztą dawna klucznica znowu teraz głosu żadnego nie miała w domu, w którym z powrotem rządy objęła ręką energiczną tryumfująca Felicya.

Czuła się właśnie dziedziczka znacznie lepiej i wstała z łóżka. Nikt o tem nie wiedział we dworze, nawet Teklunia, która wyjechała niby to w interesach własnych, a pokryjomu postanowiła załatwić ważną sprawę swojej pani.

Miała staruszka dalekich krewnych, Chocimskich, którym niegdyś pocichu pomagała. Dziś ludzie ci dorobili się małego mająteczku, siedzieli sobie na folwarku o cztery mile drogi od dóbr pana K. i byli tak zobowiązani swojej dawnej dobrodziejce, że niejednokrotnie wspominali, iż chętnie ofiarowaliby u siebie dożywotni kącik Tekluni.

Wprawdzie obecnie we dworze pana Edwarda stosunki zmieniły się do tego stopnia, iż klucznica, która do niedawna nawet nie przeczuwała, by przed śmiercią swoją mogła opuścić S... i tułać się po cudzych kątach, zaczęła teraz zastanawiać się nad propozycyą swoich dobrych przyjaciół, czy właśnie rychło nie zajdzie potrzeba skorzystania z niej na starość.

Jednakowoż w zacnem jej sercu powstała pod wpływem ostatnich dni myśl nowa, szlachetna myśl.

— Mnie stąd nie wyrzucą — pomyślała sobie — nie ośmielą się... A któż dziedzica wypiastował, jak nie ja... Mam tedy prawo pozostać we dworze na łaskawym chlebie do śmierci... Zresztą łaski nie chciałam, gospodarstwem się zajmowałam i mogłam długie lata jeszcze z Bożą pomocą pracować, gdyby nie ten zły duch w habicie. Ale chyba że jej panowania tej nie długo tutaj... Wreszcie, jak tam będzie, tak będzie, o mnie mniejsza... Do oczu stanę Edwardowi i kiedyby zaszła potrzeba, przypomnę, że nie miałby sumienia mnie stąd wyrzucać na stare lata.... Ale moja biedna pani dłużej tutaj siedzieć nie może, to nie sposób... Pojadę do Chocimskich, poproszę, żeby zamiast mnie, przyjęli ją do siebie tymczasem... Namówię ją, żeby się z mężem procesowała i musi Edward dawać jej na utrzymanie, skoro ona przy nim, wobec tej wiedźmy, mieszkać nie może...

Skoro zatem przekonała się Teklunia, iż stan pani Edwardowej nie wymaga już jej obecności przy łóżku chorej, zdecydowała się na jeden dzień wyjechać i udała się właśnie w tej sprawie do Chocimskich.

Pod jej niebytność w domu wstała dziedziczka i wyszła z pokoju klucznicy, gdzie tydzień przeleżała. Nie dziw, że pierwsze kroki skierowała do pokoju swych dzieci.

Była godzina wieczorna. Więc chłopcy już spali obaj. Nie zauważona przez nikogo na korytarzu, wsunęła się matka na palcach do ich pokoju i po kolei na czółkach obu synków położyła cichy pocałunek miłości macierzyńskiej.

Długą chwilę jeszcze przy mdłych blaskach nocnej lampki patrzała od drzwi, jak w obraz, na śpiące spokojnie twarzyczki swych dzieci, a że się zdawać mogło, iż pragnie nasycić oczy widokiem, którego jej skąpiono i którego gotowa zostać rychło pozbawiona zupełnie.

Wyszedłszy na kurytarz, przystanęła nadsłuchując i zastanawiała się, dokąd ma się udać następnie. Niezdecydowana, wracała już do pokoju klucznicy, gdy wtem do uszu jej doleciał głos męża... Rozmawiał z kimś niezbyt głośno, przyczem słów nie mogła rozróżnić — ale gdzie?

Poszła za tym głosem i ledwie kilka uczyniła kroków, przystanęła znowu.

Teraz była pewną, że Edward jest w łazience.

Bez namysłu rzuciła się ku drzwiom i otwarła je gwałtownie.

Z piersi jej wydarł się krzyk bolesny.

Złamana, krokiem chwiejnym powlokła się z powrotem do pokoju Tekluni, a za nią z łazienki przez drzwi otwarte zabrzmiał głos Felicyi:

— Pójdź siostro tutaj, pójdź... obmyj się z myśli grzesznych... Potrzebny tobie Jordan... Dobrze ci kąpiel zrobi dla ciała i dla duszy...

Dziedziczka nie słuchała, drzwi za sobą zatrzasnąwszy. Lecz nie wybuchnęła płaczem, znalazłszy się sam na sam w czterech ścianach pokoiku klucznicy. Z energią niezwykłą, jakkolwiek bezsilna jeszcze po chorobie, zabrała się do pośpiesznego pakowania swych rzeczy. Odziała się ciepło, a do zawiniątka podręcznego kładła tylko co najniezbędniejsze. Przygotowania jej nie trwały dłużej nad dwadzieścia minut, poczem nie zważając na ciemności nocne, wybiegła zamatulona z tobołkiem w ręku z własnego dworu na dziedziniec.

Psy ją poznały i nie szczekając, łasiły się u nóg pani, lecz ona pogłaskawszy je kolejno, nakazała zostać w podwórzu, a sama opuściła wrota dworskiego obejścia i drżąc z zimna, szła przed siebie, świeżym śniegiem zasypaną aleją.

Uszła może dwieście kroków, gdy od lasu w stronę dworu jadąc ciężko zaśnieżoną drogą, zbliżył się powóz. Usunęła się na bok, przeczekała, a gdy się tylko z nią zrównał, krzyknęła:

— Tekluniu!

Przerażona Teklunia, która natychmiast głos pani poznała, wychyliła się z powozu, a woźnica przystanął...

— Jezus Marya! Co też paniusia robi...

— Cicho, Tekluniu moja, cicho... Powiedz mi tylko, czy mogę do nich jechać...

— Owszem, otwartemi rękoma przyjmą, czekają... Ale czemuż tak gwałtem po nocy... Co się stało...

Przez ten czas pani Edwardowa wsiadła do powozu, gdzie Tekla robiła jej miejsce.

Namowy i perswazye nie pomogły. Teklunia musiała wrócić sama do domu od wrót dworskiego dziedzińca, dokąd ją podwieziono, poczem dziedziczka kazała nawrócić i jechać tam, skąd powóz właśnie przyjeżdżał.

Wprawdzie klucznica obawiała się puszczać panią samą w nocną podróż i napierała się odwieźć ją na miejsce, ale dziedziczka uprosiła ją, by ze względu na dzieci, nie wydalała się z domu. Również furman narzekał, że naraz przez popołudnie napadało już tyle śniegu, iż trudno mu będzie kołami dojechać, a nie zbawiłoby dużo czasu zmienić w stajni konie i zaprządz do sani. Ale dziedziczka pod żadnym warunkiem nie pozwoliła wracać na dziedziniec i nagliła, jak gdyby jakie złe przeczucie kazało jej uciekać z domu co rychlej.

Jechano prawie noga za nogą, bo już konie były zmęczone, a śnieg padając bez przerwy nawalnie, jeszcze utrudniał drogę ciężkiemu pojazdowi.

Jeszcze ani pół godziny drogi nie ujechali, gdy z tyłu za nimi rozległy się ostre dzwonki sanek.

Furman Błażej obejrzał się z kozła, a już sanie zrównały się z ich powozem.

— Stój! – huknął ogrodniczek Wosinek, który niemi powoził.

Zaniepokojona pani Edwardowa, wychyliła się i poznała sanie dworskie.

— Pogoń za mną — pomyślała.

Ale Wosinek zaczął zaraz tłómaczyć, że klucznica Teklunia przysłała dla pani sanie, żeby droga była lżejsza, bo przy powozie strasznie zmęczyłyby się konie, które i tak dziś zrobiły kilka mil.

To uspokoiło dziedziczkę. Przesiadła się natychmiast z powozu do sanek. Błażej nawrócił w stronę dworu, a Wosinek zaciąwszy konie, pognał, jak wiatr przed siebie.

— Poczciwa Teklunia — szeptała do siebie podróżna, odczuwając znaczną różnicę w jeździe saniami — byłabym powozem wlokła się, Bóg wie, jak długo.

Noc była ciemna, że oczy wykol. Śnieg ani na chwilę nie przestawał sypać. Ale Wosinek musiał znać drogę wybornie, skoro bez przerwy pędzili gładko przed siebie, jakby w biały dzień.

Wtem sanie stanęły przed jakimś domem.

— Więc to już tutaj? — spytała, rozglądając się wśród ciemności.

W tej chwili zamieć śnieżna była tak gwałtowna, płaty białe wirując z wiatrem, zasypywały oczy tak gęsto, że nie sposób było nic przed sobą rozeznać ani na krok. (C. d. n.)

Robotnicy cukrowniani z Królestwa w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 2).

W roku bieżącym wśród setek wycieczek, jakie ze wszystkich stron ziem polskich przybywały do Krakowa, zauważyliśmy bardzo znaczny przyrost z Królestwa Polskiego. Świadczy to wymownie o braciach naszych z za kordonu, że nie zasklepili się w walce, jaką im obecnie toczyć przyszło, ale, że walkę tę prowadzą, uświadamiając się coraz bardziej w kierunku narodowym.

W ubiegłym tygodniu przybyła do Krakowa wycieczka robotników cukrownianych ze Szreniawy w gubernii kieleckiej. Wycieczkę prowadził urzędnik cukrowni p. Poczobut, który od szeregu lat zajmuje się organizowaniem wycieczek z Kieleckiego do grodu Jagiellonów. Akademickie Koło Tow. „Szkoły lud.“ wydelegowało jednego ze swych członków, który wycieczce służył za przewodnika, oprowadzał i objaśniał robotnikom wszystkie pamiątki itd. Wycieczka zabawiła w Krakowie trzy dni. Na załączonej dziś illustracyi podajemy fotografię uczestników wycieczki z p. Poczobutem w pośrodku.

W bocheńskiem gnieździe.

(Do illustracyj na stronie 9).

Sokół w Galicyi rozwinął w ostatnich czasach pochwały godną, energiczną działalność, aby ideę sokolą krzewić wśród pań naszych, aby je przyjmować do grona członków. Naturalnie, Sokół musi sobie sam przyszłe druhinie wykształcić, dlatego to we wszystkich prawie gniazdach zajęto się gorliwie urządzaniem ćwiczeń dla młodych panienek, z których kiedyś wyrosną dzielne sokolice.

Wzorem innych gniazd, wziął się do tej pracy i sokół w Bochni, a rezultaty, jakie osiągnął, świadczą najlepiej, że nasze dziewczątka chętnie garną się pod skrzydła sokole, że idea sokola, żywy w ich serduszkach znajduje oddźwięk.

Jak corocznie, urządził sokół bocheński i w ubiegłym tygodniu festyn na dochód własnego gniazda. W uroczym parku sokolim zebrała się liczna publiczność, zwabiona głównie zapowiedzią popisu uczenic Sokoła. To też cały ogród zaroił się, gdy usłyszano marsza sokolego, przy dźwiękach którego zastęp żeński, złożony z samych młodziutkich panienek, wyruszył na boisko. Po reju ozdobnym nastąpiły ćwiczenia laskami, a na zakończenie kilka obrazowych piramid, prześlicznie pomyślanych i ułożonych przez nauczyciela ćwiczeń uczenic, a wykonanych prześlicznie przez młode sokolice. Illustracya nasza, jaką dziś zamieszczamy, przedstawia jedną z takich piramid; warto się jej przyjrzeć, bo przykuwa oczy harmonią i iście sokolą sprawnością.

Bandytyzm w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 18).

Przed tygodniem publiczność krakowską zelektryzowała wiadomość, że zdarzył się i w naszem mieście niespodziewanie wypadek, zupełnie podobny do codziennych, niestety, zdarzeń na bruku warszawskim.

Był to pierwszy wypadek bandytyzmu w Krakowie, a zajście w szczegółach przypomina metodę napadów i zamachów, spełnianych co krok przez bandytów w Królestwie.

Oto przebieg niezwykłego u nas zdarzenia, które tyle sensacyi obudziło wszędzie.

P. Izaak Araten, właściciel handlu farb i materyałów przy ul. Stolarskiej l. 11, przyszedł do sklepu o godz. 3 po południu. Subjekta odprawił na obiad i pozostał sam. W chwilę później wszedł do sklepu mężczyzna w czapce „rosyjskiej“ na głowie, z kobietą, ubraną po wiejsku, i zażądał kredy szlamowej, znajdującej się w przylegającym do sklepu małym magazynie.

P. Araten przypomniał sobie, że ów mężczyzna był u niego w sklepie przed kilku dniami i rzucił parę śmiałych wyrażeń z powodu toczącej się właśnie wtedy rozprawy Walentego Ziacha. Jakby przeczuwając grożące sobie niebezpieczeństwo, nie chciał iść do magazynu i odpowiedział, że kredy niema.

— To daj nam pan szarego mydła!...

Mydło znajdowało się bliżej, tuż przy drzwiach magazynu. Gdy p. Araten odwrócił się po nie, uderzono go żelaznym funtem w głowę i przewrócono w tył. Zanim zdołał krzyknąć, zatkano mu usta znajdującemi się w sklepie drewnianemi wiórami. Potem, związano mu ręce na krzyż sznurem od cukru. Próbowano związać także nogi, ale brakło sznura.

Zaczęło się rabowanie. Złoczyńcy usiłowali wyrwać p. Aratenowi złoty zegarek z kieszeni, ale miał on jeszcze tyle przytomności, że mimo skrępowanych rąk, bronił się rozpaczliwie i nie pozwolił zabrać zegarka; przy zegarku urwano tylko uszko. Potem, dusząc się, stracił przytomność. Napastnicy zabrali mu z kieszeni większy pugilares z wekslami na kilkadziesiąt tysięcy koron i gotówką około 60 koron. Jak się zdaje, z szuflady zabrali trochę pieniędzy, gdyż monety srebrne były porozrzucane po podłodze.

O rozgrywającej się scenie poza sklepem nikt nie wiedział. Około godz. kwadrans na 4 tą przyszła jakaś kobieta po benzynę. We drzwiach sklepu, wiodących na ulicę, zastała młodego mężczyznę. Zapytał on kobiety:

— Po co?

— Po benzynę... brzmiała odpowiedź.

— Teraz nie można, bo kupiec śpi.

Kobieta odeszła, a wtedy, zdaje się, opuścili sklep sprawcy napadu.

Pierwszy po wyjściu rabusiów wszedł do sklepu po pędzle Ludwik Makowski, syn malarza. Zobaczywszy bezprzytomnie leżącego Aratena, domyślił się zbrodni, wyszedł na ulicę i zawezwał jednego z przechodniów o pomoc. Zaraz potem wszedł 14 letni Salomon Luftig, posłany po klej przez właściciela pracowni blacharskiej w sąsiedniej przechodniej kamienicy. Chłopiec pobiegł do pana Horowitza i opowiedział mu, co widział. P Horowitz pospieszył z pomocą i razem z żołnierzem policyjnym nr. 208 wydobył knebel z ust p. Aratena i rozciął krępujące go sznury. Przybyłe pogotowie przywróciło do przytomności posiniałego już Aratena. Za kilka minut później groziłaby mu już śmierć przez uduszenie.

Odetchnąwszy swobodnie, odezwał się p. Araten:

— Czego chcecie, rabusie?

Zaraz potem przybył pełniący służbę dyżurną oficyał policyjny p. Kurnik, oraz inspektor p. Walas.

Według opowiadań p. Horowitza, nietylko pieniądze były porozrzucane po ziemi, ale na kantorku był widoczny wielki nieład, porozrzucane papiery i faktury kupieckie.

Pogotowie ratunkowe przewiozło p. Aratena do mieszkania przy ul. Miodowej l. 13. Tam odzyskał do reszty przytomność i opowiedział całe zajście. Rodzina p. Aratena zarządziła chwilowe zamknięcie sklepu, około którego gromadziły się do wieczora liczne zastępy osób, opowiadających sobie zajście. Wypytywano mających po drugiej stronie kramy właścicieli, czy nie widzieli kogo podejrzanego o wskazanej porze. Niektórzy widzieli kręcących się około sklepu różnych ludzi, ale bliższych wskazówek dać nie są w stanie.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, sprawców napadu było trzech: w środku sklepu mężczyzna z drugim mężczyzną, prawdopodobnie przebranym za kobietę i na czatach w głównych drzwiach, trzeci mężczyzna. P. Araten dokładnie opisał sprawcę napadu.

Na inspekcyę zabrano *corpora delicti:* sznur i knebel, którym zatkano usta p. Aratenowi. Rzeczywiście mógł on wywołać uduszenie, bo jest wielkości dużego gęsiego jaja, a zrobiony jest z twardych włókien drzewnych, używanych do opakowywania towarów. Sznur jest bardzo mocny, gruby, taki, jakie używane bywają do wiązania głów cukrowych.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.

Pierwszą, drugą, czwartą — abecadło chowa;
Druga wspak, trzecia czwarta — to rzecz wartościowa;
Gdy cię przycisną braki i kłopoty,
W pierwszym lepszym banku zmienisz na banknoty.
Wszystkiego naraz nie mogę powiedzieć;
Pod *całością* w cieniu przyjemnie jest siedzieć.

Logogryf.

Ułożył S. Samueli, Limanowa.

Ze zgłosek: ad, ba, bów, cza, czas, da, do, dzie, dy, e, go, gipt, i, i, j, kat, ki, lo, mi, nie, nie, nog, o, ów, po, ran, ro, sem, sia, te, we, wic, wit, wód, wo, zo, ża, — ułożyć 14 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko znakomitej powieściopisarki, a końcowe, w tymsamym kierunku czytane, tytuły dwóch jej powieści.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej genealogia. 2. Inaczej ubranie. 3. Zamek nad Wisłą, naprzeciwko Torunia. 4. Imię żeńskie zdrobniałe. 5. Dwie litery, pierwsza samogłoska, druga spółgłoska. 6. Wicekrólestwo w Afryce. 7. Autor powieści: „Wieczory pielgrzyma“. 8. Inaczej miara zgłosek. 9. Inaczej niekiedy. 10. Obrzydliwy płaz. 11. Zaimek wskazujący i ryba, należąca do rzędu „smoczkoustych“ 12. Wysłużony wojownik. 13. Złe, brzydkie powietrze. 14. Inaczej obrońca w sądzie.

Łamigłówka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Podane wyrazy tak poprzestawiać, by ich pierwsze i trzecie litery, czytane z góry na dół, utworzyły nazwiska dwóch królów polskich.

Wyrazy są następujące: asysta, alabaster, Bawarya, Ernest, farsa, nektar, opera, rozdział, Sahara, teleskop, trema, ypsylon.

Zagadka.

Ułożył A. Pfeiffer, Przemyśl.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły nazwę ostatniej w Galicyi wystawy krajowej.

X	O	O	O	X
X	O	O	O	X
X	O	O	O	X
X	O	O	O	X
X	O	O	O	X
X	O	O	O	X
X	O	O	O	X
X	O	O	O	X
X	O	O	O	X
X	O	O	O	X
X	O	O	O	X

Znaczenie wyrazów: 1. To, co ptak znosi. 2. Królowa rzek polskich, (wspak). 3. Inaczej szybki. 4. Co musi się mieć, chcąc coś pisać. 5 Inaczej papiery wartościowe. 6 Moneta w Rosyi. 7. Naczynie drewniane do noszenia wody. 8 Zabawa kwiatowa. 9. Część bluzki. 10. Wykazanie swej bytności. 11. Pospolite imię żydowskie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniałą bombonierkę** czekoladek z cukierni A Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 27.

Szarady.

I. Ułamki.

II. Miłość.

ZAGADKA.

Honwed, Eliasz, nagniotki, robotnik, yapara, Kopernik, Japonia, babiniec, sandacz, Emeryk, Narenta.

Henryk Ibsen — Dzika kaczka.

Zadanie arytmetyczne.

6	metrów	po	2	złr.	80	ct.	=	16	złr.	80	ct.
5	„	„	2	„	—	„	=	10	„	—	„
10	„	„	1	„	—	„	=	10	„	—	„
79	„	„	—	„	80	„	=	63	„	20	„

100 metrów kosztuje razem 100 złr. — ct.

Przyp. Red. W zadaniu tem może być zresztą rozwiązań około 100 i wszystkie będą dobre, n. p.: z pierwszego gatunku 1 metr, z drugiego gatunku 1 metr, z trzeciego 84 metrów, z czwartego 14 metrów, albo z pierwszego 1, z drugiego 2, z trzeciego 78, z czwartego 19 m. Wymaga to tylko nadzwyczajnie żmudnej pracy.

Arytmogryf.

P, Per, Witte, Sporysz, Ołomuniec, Jabłonowski, Petrunkiewicz, Tyszkiewicz, Grodeskuł, Rotwand, osina, ach, z.

Petrunkiewicz.

Zagadka.

Iza, Pad, demon, agawa, drachma, Wilhelm, Dante. Klara, akr, ara, borówka, ali, par, car, Filip, Teofila, Klonowicz, róża i narcyz, Jeż i Kraszewski, Stanisław i Józef.

Zamach na króla Alfonsa.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: B. Ramułtowa Jeżów, J. Aleksandrowicz Kraków, Prenumerator z Dług, J. Czechowicz Mikolajów, L. Rączkowski Siary, K. Bobek Zakopane, J. Kulczyńska Zakopane, Z. Szymczakowska Zakopane, J. Wesoła Zakopane, M. Weimerowa Nowy Sącz, J. Wodziczkówna Germakowka, K. Fuchs Peczeniżyn, M. Arbesbauer Lwów, M. Bartelmusowa Lwów, St. Nidjol Kraków, Fr. Jancki Łazy, Fr. Oborniak Budapeszt, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Cetera Dubiecko, Tow. Zgoda Krosno, Fr. Niepokój Krosno, Al. Bocsoń Bóbrka. A. Surowiecki Kraków, Bl. Peterkiewicz Czerniowce. J. Haładej Górki, H. Zielińska Manajów, M. Rożański Gorlice, H. Ulrych Malin, K. Jasiński Kraków, H. Mokrzycka Turbia, E. Bogdalska Koropuż, E. Mroziński Mosty Wielkie, M. Małaczyński Pikułowice, T. Domain Sanok. Dr. St. Warmski Turka, A. i St. Bassara Niwiska, St. Laszkiewicz Dębica, H. Plechawska Stanisławów, A. Batko Lwów, Dr. J. Kasparek Lwów, M. Świtlikowa Rzeszów, St. Jędrzejewski Warszawa, Fr. Kośmider Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **Marya Arbesbauer, we Lwowie.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.